Nr. 42. Lwów, Niedziela dnia 24. Czerwca 1877 r. **Tom V.**



ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

CZYTELNIE LUDOWE.

W chwili gdy w dwóch częściach świata toczy się walka, której przyszłych rozmiarów i następstw nikt dziś obliczyć nie zdoła, kiedy walka ta zwraca na siebie powszechną uwagę całego świata, a szczególniej naszego narodu, dziwnem i nie na czasie wydać się może nawoływanie do pokojowych „organicznych“ prac. Sądzimy jednak, iż prace tego rodzaju, mające na celu wzmacnianie podstaw narodowego bytu, nigdy ani na chwilę ustawać nie powinne. W czasach bardziej podniesionego życia politycznego, wśród toczących się wypadków powszechnodziejowego znaczenia, zbyt skorzy jesteśmy do zrywania nici tych prac pokojowych, a zapominając o dobrej regule „et haec facienda et illa non ommittenda,“ kończymy zbyt często na tem, że w polityce poprzestajemy na bezowocnym frazesie, a w pracach wewnętrznych nastaje długa pauza. Gdy zaś nadejdzie pora do zużytkowania sił narodowych dla politycznych celów narodu, wtedy dopiero poczyna się narzekanie, żeśmy w stosownym czasie tak mało zrobili dla należytego sił tych spotęgowania. Nie chcemy przez to odwracać uwagi publicznej od spraw politycznych, owszem radzibyśmy by zajęcie się niemi coraz szersze ogarniało koła—ale pragniemy, ażeby wśród tego szły dalej nieprzerwanie prace nad oświatą i wzmożeniem dobrobytu, które się nie bez skutku przed dziesięciu przeszło laty rozpoczęło.

I tem też usprawiedliwiamy, iż poruszamy dziś sprawę czytelni ludowych. Od r. 1866 do 1872 znaczny był *w kraju ruch w tym kierunku.* Stowarzyszenia oświaty pracowały w swych filiach nad zakładaniem czytelni, krzątali się około tego ludzie prywatni, rady powiatowe nabywały nieraz znaczne zapasy dzieł pożytecznych dla czytelni ludowych, a co chwila czytaliśmy w dziennikach doniesienia o świeżo powstających zakładach tego rodzaju, mających cywilizacyą karczmy zastąpić oświatą czerpaną z dzieł ludowych. Od r. 1872 ruch ten ustał. W stuletnią rocznicę pierwszego rozbioru podjęto myśl zbierania składek na szkoły ludowe, ażeby przez to rozbudzić zajęcie się jak najszerszych kół sprawą szkół i oświaty. Cel został osiągnięty, agitacya w kraju przybrała tak szerokie rozmiary, że nie pozostała bez wpływu na reprezentacyą, i w tymże samym roku uchwalono ustawy szkolne, których kraj tak długo od sejmu swego oczekiwał.

Ale — jak u nas niestety zbyt często się zdarza — tym czynem tak łatwym, tem prostem obowiązku wypełnieniem wysililiśmy się tak, że od tej pory całą pracę nad oświatą ludu pozostawiono urzędowym władzom i reprezentacyom, a prywatna usilność prawie zupełnie od niej się odwróciła. Od r. 1872 począwszy nie możemy się żadnym czynem w tym kierunku pochlubić, prócz utworzenia w roku zeszłym komitetu wydawnictwa dzieł ludowych, który pracuje z wielką gorliwością i ofiarnością, ale sam, bez należytego poparcia ze strony kraju nie może zadaniu swemu w całej pełni podołać. Zresztą — produkcya komitetu będzie musiała ustać, jeżeli jej nie odpowie dostateczna konsumcya jego produktu. Cóż pomoże ogłaszanie dzieł ludowych, jeżeli w kraju nie ma dostatecznej liczby, czy to jednostek, czy ciał zbiorowych, któreby im szybki zapewniły odbyt?

Wspomnieliśmy, że od czasu zebrania skromnego funduszu na szkoły ludowe i uchwalenia ustaw szkolnych, ustała prywatna usilność w kierunku oświaty ludu. I nieraz spotykaliśmy się ze zdaniem, że całą tę potrzebę zaspokoi teraz szkoła i władze szkolne. Wykazywaliśmy już poprzednio (w artykule „książka ludowa“) jak błędnem i niebezpiecznem jest takie twierdzenie. Do uwag tych dodamy dziś jeszcze, iż przykład zagranicy tudzież działanie żywiołów wrogich w samymże kraju, powinneby nas inaczej pouczyć. W Niemczech, gdzie szkoły ludowe od tak dawna są już wszędzie zaprowadzone, zorganizowane na podstawach zapewniających im niewątpliwie trwały byt, zaopatrzone we wszelkie potrzeby: mnóstwo istnieje stowarzyszeń oświaty, które ogłaszają dzieła ludowe, rozrzucają je po najtańszych cenach pomiędzy lud, zakładają czytelnie itp. Toż samo w Anglii, we Francyi, w Szwajcaryi. Jeżeli tam, gdzie oficyalna czynność w kierunku oświaty jest stokroć potężniejszą niż u nas, uznano niezbędną potrzebę rozwinięcia obok tego czynności prywatnej—to my, w znacznie gorszych będący warunkach, my, którzy bardzo wiele czynności w innych krajach przez państwo spełnianych musimy prywatnemi zastępować działaniami, nie możemy żadną miarą w sprawie oświaty ludu poprzestawać na tem, co czynią władze.

Przypatrzmy się jeno, co czynią w tym kierunku inne w kraju naszym żywioły. Pseudoruskie stowarzyszenie Michała Kaczkowskiego rozrzuca tysiące broszur pomiędzy ludem. „Proświta“ oparta o drukarnię „Tow. Szewczenki“ drukuje i rozsyła po 10 tysięcy egzemplarzy jednego dziełka! I tą drogą przechodzą w lud zasady antinarodowe i antisocyalne, tą drogą padają na rolę nasze ziarna społecznych waśni i zawiści! A my z założonemi rękoma przypatrujemy się temu, pocieszając się, iż reorganizacya szkół dokona za nas wszystkiego, podczas gdy ta reorganizacya idzie żółwim krokiem, i ma do zwalczenia tysiączne przeszkody, które nawet dla energiczniejszych i lepszych władz szkolnych nie tak łatwemi byłyby do pokonania. Z drugiej znów strony innego rodzaju, według nas także niebezpieczna szerzy się propaganda. Takie „Apostolstwo Serca Jezusowego,“ o którem niedawno pisaliśmy, a które utwierdza lud w tem zgubnem mniemaniu, że cuda wybawią go od choroby, od nędzy, od procesów, słowem od wszystkiego złego, i w ten sposób potęguje jeszcze najzgubniejszy w ludzie naszym kwietyzm i niedbalstwo, taka „Chata“ cała zapełniona opowieściami o cudach, o Ludwice Lateau, o wodzie z Lourdes, taki „Wieniec“ i „Pszczółka,“ z których czytelnik jako o przykładzie godnym naśladowania dowiaduje się o rodzicach, którzy *pragnęli* śmierci dziecka swego, ażeby to dziecko było w niebie „papieskim żuawem,“ a których prośba istotnie wysłuchaną została, czyż to wszystko nie straszna trucizna? Czyż to nie jest szerzenie zabobonu w miejsce prawdziwej wia-

ry? Utwierdzanie ludu w jego nieporadności i niedbalstwie, zamiast zachęcania go do użycia i potęgowania sił własnych? Słyszymy już głosy, które na nas się podniosą, że pragniemy ateistycznego piśmiennictwa ludowego — bo już nieraz padały na nas te kłamliwe zarzuty. My chcemy, by to piśmiennictwo ludowe było przejęte duchem religijnym, ale nie pogańskim, a to co dzisiaj z rąk jezuickich pomiędzy ludem się rozchodzi, pogańskiem jest a nie Chrystusowem — zabobonnem jest a nie religijnem. I tak samo jak z założonemi rękoma przypatrujemy się agitacyi antisocyalnej i antinarodowej, tak też i ta między ludem antireligijna choć pod płaszczykiem wiary płodzona agitacya nie napotyka żadnej przeszkody ze strony dobrze myślącego ogółu.

Czas już zaprawdę wielki wyrwać się z tej apatyi. Wzywają nas do tego najżywotniejsze interesa narodu, znagla nas coraz więcej szerząca się agitacya zgubnych żywiołów, zachęca wreszcie okoliczność, iż dzisiaj pole lepiej przysposobione aniżeli było przed dziesięciu laty. Ze szkół ludowych wychodzi co roku znaczna liczba młodzieży, umiejącej czytać. Młodzież ta dostarczy kontyngensu do czytelni. Nie bez tego, żeby się w gminach nie znaleźli i starsi gospodarze, którzy chętnie przysłuchiwać się będą głośnemu odczytywaniu dobrych książek. Przeszło 2.000 szkół ludowych w kraju — to wyborny punkt oparcia dla czytelni, a nauczyciel wiejski, któryby się gorliwie czytelnią zajął, pełnił w niej funkcye bibliotekarza i nadzorcy, rozdawał książki i zarządzał głośne czytanie — pewnoby przez to nie tylko nie naraził się szkolnym władzom, lecz owszem większe u nich znalazł uznanie aniżeli taki, któryby mniemał, iż obowiązki jego wobec oświaty ludu ustają z godziną kończącą naukę w szkole. Miasteczka nasze małe, mieszczące ludność na poły rolniczą, na poły rzemieślniczą, to byłoby pierwsze i najważniejsze miejsce do zakładania czytelni. Ztąd ruch ten rozejść się może po wsiach. Cała inteligencya wiejska — szczególniej zaś kobiety polskie, które tyle już dawały dowodów gorliwości i poświęcenia dla sprawy narodu, to najlepszy żywioł, za pomocą którego można ten ruch rozwinąć. A gdy kraj zarzuci się całą siecią takich czytelni, wtedy i wydawnictwa ludowe będą się mnożyć, a mając zapewniony większy odbyt, wydawać będą dziełka lepsze i tańsze niż dotąd. Czytelnia choć w części odciągnie lud od karczmy; czytelnia sprawi, że nauka szkolna nie będzie zapomnianą i zmarnowaną w dalszem życiu; czytelnia zachęcać będzie rodziców do posyłania dzieci do szkoły, i może zneutralizować zgubne między ludem wpływy.

Do pracy zatem obywatele polscy — do pracy kobiety polskie — do pracy nauczyciele wiejscy!

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. Łama i Włodzimierza Zagórskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Możesz sobie kochany pan wyobrazić burzliwą scenę, którą nazajutrz po mej rozmowie z Władysławem przebyć musiałem w domu cioci Pstrzykalskiej, wywiązując się z mego poselstwa. Żale opuszczonej Dydony, Medei lub Aryadny są niczem w porównaniu do spazmów impetycznej Klimci po wysłuchaniu mojego orędzia. I cóż pan na to powiesz? Cała ta burza zwróciła się przeciwko mnie! Według mniemania panny Klementyny bowiem, powinien byłem, jako najbliższy jej krewny, co najmniej na bigos posiekać Szklannego człowieka; zdanie do którego się prawdopodobnie po części przychylała i ciocia Pstrzykalska, powodując się słabością dla swej córki.

Spazmy Klimci i płacz cioci trwały około trzech godzin; wystaw sobie pan coby to się było działo, gdyby Władysław przyszedł był osobiście, wypić piwo, które nawarzył, a zrozumiesz że Szklanny człowiek nie był tak bardzo głupim, kiedy mając wybór pomiędzy sprawami Klimci, a kulami Kabylów Abdelkadera wybrał... lecz o tem się dopiero później dowiemy.

Wyjazd za granicę był rzeczywiście najroztropniejszem jeszcze wyjściem z położenia w którem się znajdował bohater nasz w obecnej chwili, wzięcie jego bowiem zaczynało się chylić ku upadkowi. Grunt lwowski ma to do siebie, że na nim bardzo szybko wzrastają, ale też i bardzo szybko upadają niezasłużone popularności. W Krakowie to rzecz inna! *C'est une autre paire de manches!* Tam pierwszy lepszy z wielkich ludzi wyszrubowany przez ciocie i kuzynki na „powagę", może dożyć lat matuzalowych, nie utraciwszy ani jednego z swych pożyczanych piórek, zwłaszcza jeżeli chodzi co dzień na mszę świętą i spowiada się przynajmniej co miesiąc; — tu zaś na tym demokratycznym lwowskim bruku drą się popularności prędzej jeszcze od butów, a że każda z takich upadłych wielkości żal potem czuje do świata i do ludzi, więc też nie ma pod słońcem miasta, gdzieby tylu było „wzdychaczów i miękiszów" jak tego rodzaju ludzi nazywa nadworny poeta *Ruchu Literackiego*, pan Stefan z Opatówka.

Otóż więc popularność Szklannego człowieka zaczęła się była drzeć właśnie w owym czasie. Od czasu wyjazdu pani Ptaszyńskiej ucichł był rozgłos niedośpiewanego jednozgłoskowego poematu, sława oryentalnego łoża i ocieniającej go palmy przebrzmiała była także, *ce truc avait fait son temps* wypadając więc z łaski cioci Pstrzykalskiej, czyli — jak mawiał Ratatyński — przechodząc z „regardów na wzgardy", tracił nasz bohater ostatni kawałek gruntu pod nogami, i nie pozostawało mu nic innego, jak tylko usunąć się z widowni, starając się aby go zapomniano. Jakoż nie wywołał wyjazd Władysława wielkiej sensacyi, zwłaszcza że ciocia Pstrzykalska, ażeby zbić z toru zbyt domyślnych, dała z mej namowy w trzy dni później mały raucik, na którym się wybornie bawiono, a w tydzień potem nie mówił już nikt o Szklannym człowieku, i zapomniano go całkiem, tak jak gdyby to nie był autor niewyśpiewanego jednozgłoskowego poematu i właściciel oryentalnego łoża, lecz — Panie odpuść! minister bez teki!

Jakoś w miesiąc po tych zajściach pojawił się we Lwowie Ratatyński, nadzwyczaj jakoś zakłopotany. Zszedłszy się z nim u Żorża na obiedzie, a nie widziawszy go od czasu wyjazdu Władysława, zacząłem *comme de raison* rozmawiać z nim o naszym bohaterze, ubolewając nad jego szklannością, która go zapędziła do Algeryi.

Ratatyński spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem.

— Jakto, ty nie wiesz? – zawołał.

— A cóż mam wiedzieć? — odpowiedziałem zdziwiony.

— Ta że on siedzi w Ostendzie...

— W Ostendzie! Chachacha! *C'est unique!* Ja sądziłem, że on się oddawna już upędza za Beduinami, a on siedzi w Ostendzie... Ale żartujesz mój Marceli, cóżby on robił w tej nudnej Ostendzie?...

— Pojechał *niby to* pożegnać moję żonę. Pojmujesz, jeżeli ktoś jedzie *aż* do Afryki, aby zginąć, to musi wprzód siostrę pożegnać.

— No, i siedzi cały miesiąc w Ostendzie — dodałem, udając że nie spostrzegłem ironicznego tonu mego towarzysza.

— Et, gdzie tam! Wstąpił po drodze do Hamburga, i przegrał ośm tysięcy w *rouge et noir!*

— A to ptaszek!

— Pewnie że ptaszek! — ciągnął zgryźliwie dalej Ratatyński. Człowiek nie ma dość swoich kłopotów, jeszcze się musi kłopotać takim szaławiłą.

— A na cóż ci się nim kłopotać?

— Toż muszę teraz jechać po panicza, gdzieś aż do Ostendy, a tu same żniwa, sam „prask".

— Więc wraca do kraju?

— No, pewno że wraca! Gdzieżbyśmy go puścili.

— Dla czegóż go macie odwracać od zamiaru? Kto wie, możeby zrobił karyerę, bo że jest odważnym, to o tem wiem, a co do beduińskich kul, to przyznam ci się, że nie bardzo wierzę w ich celność.

Ratatyński rzucił mi znowu przenikliwe spojrzenie.

— Ooooo, nieee! Gdzieżbym ja na to pozwolił żeby mój szwagier karku nadstawiał, gdzieś hen za morzem. A nuż zechce nieszczęście, *taj* zabiją! Aaaaa nieee! Słowo uczciwości daję że na to nigdy nie pozwolę! Wszakżeż ja jestem prawie jeszcze jego opiekunem!

— A cóż będzie robić?

— Co będzie robić? Ożeni się...

— Ależ kiedy nie chce...

— Co to nie chce? Musi! Musi! Gdzieżbym ja mu dał ginąć, takiemu dobremu, takiemu zacnemu, takiemu zdolnemu chłopcu. Toż przecie lepiej ożenić się, aniżeli dostać kulą w łeb...

— *C'est selon!*

— Et, bo wam fiu! fiu! w głowie wszystkim!... Przynajmniej nie gadajże tak przed Władziem, jak go zobaczysz, bo to szkoda chłopca! Marnuje się! Marnuje!... A ty nie wiesz co to za poczciwe serce!... Trochę niepraktyczny to prawda, ale serce, ale głowa ho, ho!

— Gdzieżbym ja mu dał ginąć? — dodał Ratatyński, ocierając palcem z oka łzę, której tam nigdy nie było. — Ja go tak kocham, tak kocham, tak kocham! Słowo honoru daję, jak rodzonego brata! Słowo uczciwości, ja mu nie dam ginąć, ja na to nigdy nie pozwolę!

Troskliwość Ratatyńskiego o los jego szwagierka, była dla mnie rzeczą niepojętą, tem bardziej, że znałem dobrze szlachcica, i że dobrze wiedziałem, iżby się tak wielce nie martwił, gdyby kulka beduińska w stosownej chwili, przemazała w stanie biernym dóbr Starowoli *cum attinentiis* onę pozycyą. która tamże była zapisaną na rzecz Władysława. Domyślałem się więc, że pieczołowitość ta musi być natury algebraicznej, i wyrażać jakowąś cyfrę figurującą w ekstrakcie tabularnym Starowoli lub Barkocina. ale jaką? tego się domyśleć nie mogłem. *C'etait du grec pour moi!* Wtem nagle przypomniawszy sobie, że Szklanny człowiek na rachunek schedy swej otrzymał był tylko sześć, a wedle słów Ratatyńskiego w Homburgu przegrać miał ośm tysięcy, zapytałem znienacka:

— Zkądże Władysław wziął tyle pieniędzy?

— A czyż ja wiem — odparł Ratatyński spozierając na mnie z ukosa. Prawdopodobnie musiał gdzieś pożyczyć— dodał po chwili na pozór obojętnie.

— Domyśliwszy się, że wetknąłem palec w otwartą ranę, nie nalegałem więcej, lecz wstawszy od stołu pożegnałem mego towarzysza życząc mu szczęśliwej podróży.

Vous concevez mon cher, żem sobie głowy wcale tem nie suszył, jaka być może przyczyna troskliwości poczciwego Ratatyńskiego o losy jego szwagra. aliści wypadek chciał, iż w kilka dni później, będąc u mego adwokata wpadłem na trop tej zagadki. Mianowicie zastałem tam Ehrenmanna, który był jak pan wiesz ministrem finansów ojca Lalci Sumińskiej, i załatwiał *les affaires galleuses* tego zacnego obywatela. Usłyszawszy przypadkiem wyraz „Starowola" wymówiony przez tego finansistę, rozciekawiłem się wielce, jaki być może powód, skłaniający pana Ehrenmanna do zajmowania się temi dobrami, jakoż po jego odejściu, zapytawszy w tej mierze mecenasa, dowiedziałem się, że chodzi o superoneracyą schedy Władysława, na Starowoli ciężącej, kwotą dziesięciu rysięcy czterechset złr. m. k., to zaś na zasadzie aktu notaryalnego na rzecz jakiegoś innego żyda wystawionego, a przez pana Ehrenmanna nabytego, mocą którego to aktu, obowiązał się p. Władysław Habdank Podborski uiścić rzeczoną sumę w terminie lat trzech, a to pod rygorem kary konwencyonalnej w kwocie złr. m. k. dwiestu za każdy tydzień zwłoki. *Vous concevez mon chèr*, że wobec dokumentu w taki sposób sporządzonego, wszelkie—jeżeli miał jakie kiedy—nadzieje Ratatyńskiego, iż mu szwagier czekać będzie z wypowiedzeniem kapitału czas jakiś po nad termin przy pertrakcyi spadkowej oznaczony, spełzły były zupełnie, i że Marcelemu chodzić musiało o powstrzymanie Władysława, ażeby za jego pomocą ochronić się przed nieuniknioną po trzech latach egzekucyą, a może i licytacyą Starowoli, słowem że mu o to chodzić musiało by Szklannego człowieka bogato ożenić, a ożeniwszy skłonić do tego, by dług ten sam zapłacił, nie dopuszczając do egzekucyi, lecz owszem przedłużając ile możności termin wypłaty poprzednio stypulowany. Był to rzeczywiście jedyny możliwy ratunek, w wypadku bowiem śmierci Władysława za granicą, wchodził oczywiście wierzyciel w jego prawa, kary konwencyonalne zaś. byłyby niezawodnie pochłonęły nadwyżkę schedy, w razie gdyby Ratatyński umówionego nie dotrzymywał terminu, że zaś takowego wcale nie będzie mógł dotrzymać, o tem dziś już wiedział poczciwy Marceli, zwłaszcza że oprócz owych dziesięciu ewentualnie czternastu tysięcy, ciężyło jeszcze na Starowoli piętnaście tysięcy zaintabulowanych na rzecz Sumińskiego, a cztery tysiące zaprenotowanych na rzecz Ehrenmanna, ogółem 29 do 30.000 płatnych w przeciągu lat trzech.

Z tego, o czem się u adwokata dowiedziałem wypadało:

1o że Sumiński osidlił Ratatyńskiego siatką pajęczych nici ze wszystkich stron, i że szwagier Władysława musi być powolnem narzędziem młyniskiego naboba.

2o że żoną przez Ratatyńskiego Władysławowi upatrzoną. nie może być kto inny tylko Lalcia Sumińska, nakoniec

3o że panna Lalcia musi jeszcze zawsze myśleć o Szklannym człowieku.

Wszystko to było tak jasnem, że mi się nie trudno było tego domyśleć, ale jakich środków użyje Ratatyński by skłonić szklannego Władysława, aby się ożenił z osobą, jadającą *le petits pois avec un couteau* i zachwycającą się cielętami, a nienawidzącą księżyca w poezyi z powodu komarów, które tną wtedy gdy księżyc świeci, tego się domyśleć nie mogłem. (C. d. n.)

O ARCHITEKTURZE

ODCZYT

PROF. JULIANA ZACHARIEWICZA.

(Ciąg dalszy.)

Forum, cyrk, teatr, bazylika imponują olbrzymimi rozmiarami, a w termach i pałacach Cezarów, sztuka rzymska dosięga swego szczytu. Budowle ostatnie przedstawiają się nam jako aglomeraty różnorodnych obszarów, różnym celom służących, każdy we właściwych sobie rozmiarach, do takiej harmonii w majestatycznej całości ułożony, jakiej żaden z następnych wieków doścignąć nie zdołał.

Kiedy sztuka grecka przenika duchem artyzmu całą budowę, nadaje życie każdemu członkowi i podług swojego pojęcia doprowadza do najszlachetniejszych kształtów, a także w subtelności wykonania widzi cel zadania swojego sztuka rzymska przeciwnie, imponuje ogromem swoich utworów i malowniczo wspaniałym układem; a niezrównaną jest w ukształceniu tych olbrzymich obszarów, które potrzebne były dla pomieszczenia licznie zgromadzonego światem władnącego ludu.

Równocześnie i budynek prywatny mieszkalny, doznał przekształcenia. Przedstawia on się nam jako dalszy rozwój domu pelaskiego, w takiej idealnej doskonałości układu poetycznego, jakiej nie osiągnięto w żadnym z późniejszych czasów. Katastrofie, która w pierwszem stuleciu ery chrześciańskiej lawą i popiołem zasypała miasta: Herkulanum, Pompeję i Stabią, zawdzięczamy widok tych pomieszkań, o których wspomniałem.

Podział państwa rzymskiego na wschodnie i zachodnie stanowi ważną epokę w dziejach. Przewagę wschodniego państwa widzimy nietylko na polu politycznem, lecz odbija się ona także w architekturze. W widzeniu Konstantego Wielkiego podczas bitwy, gdzie mu się zdaje, iż tylko pod znakiem krzyża pokona nieprzyjaciela, leży całe przeobrażenie stosunków. Wskutek tego przyznaje on chrześciaństwu równouprawnienie, a później uznaje tę religią za panującą.

Nagle, ci chrześcianie prześladowani przez wieki, którzy w idealnem pojęciu religii Chrystusa zrzekli się swego mienia, którzy postępując tylko z okiem zwróconem ku niebu, wyzuli się z wszelkich względów światowych i w ciemnych świeżą krwią męczenników zroszonych, katakombach odprawiali potajemnie nabożeństwa, nagle ci sami otrzymują równouprawnienie; co więcej, ich ideały, sprzeczne z poglądami wyuzdanego świata pogańskiego, stają się panującymi!

W takiej ciężkiej próbie, w idei ubóstwa i ascetyzmu wzrosłe i utrwalone społeczeństwo sztuki pielęgnować nie mogło. Każdy jej objaw wzbudzał wspomnienie znienawidzonej sztuki i świata pogańskiego, który w oczach ówczesnych chrześcian największego był godny potępienia. Wśród szczytnych utworów sztuki, skrzętnie niszcząc te zabytki jeszcze nie zagasłej cywilizacyi, budują chrześcianie swoje kościoły, używając pogańskich świątyń i budowli, jako najdogodniejszych kamieniołomów i składów cennego materyału. Może nigdy nie było na ziemi naglejszego przeobrażenia społeczeństwa. I na tym przykładzie widzimy też najwybitniej, ile idealne poglądy wpływają na rozwój architektury, ile zaparcie się ideałów piękna, przyczynia się do zagłady szczytnej sztuki.

To przekształcenie pojęć i układu społeczeństwa, tak odrębnego od pogańskiego świata, nie mogło przyjąć symbolów dawnej cywilizacyi za swoje. Szukali więc nowych kształtów, nowym ideałom odpowiadających. Naglej potrzebie, pomieszczenia licznej gminy chrześciańskiej, wypadało zaradzić. Rytualne względy nie dozwalały użycia obszernych budowli pogańskich ale system założenia bazylik, tych budynków służących świeckim celom, przyjęto jako punkt wyjścia, do zadosyćuczynienia nowym wymaganiom. Przeobrażenie, wynik twórczej myśli, nastąpiło w sposób zupełnie idealny. I tutaj manifestuje się kształcący duch ludzki w całem znaczeniu tego słowa. Wynajduje on zasadnicze przeobrażenie przybytku pogańskiego. służącego do zebrania ludności w celach świeckich, na gmach, dla chrześciańskiej gminy, wznoszącej ducha do jedynego Boga. Bazylika pogańska, jest to budynek obszerny założony na kształt naszych dzisiejszych burs kupieckich. Dziedziniec obszerny, sala olbrzymia, czasem kryta, stanowi ognisko, cel całej budowy. Tam zbiera się świat kupiecki, tam odbywają się zebrania ludności, nareszcie służy on za wyborne miejsce do różnych widowisk.

Dla widzów na około tego czworoboku wznoszą się w jednej lub w dwóch kondygnacyach, korytarze od wspomnianego dziedzińca, tej głównej nawy, kolumnami oddzielone w taki sposób, ażeby nagromadzona tam masa widzów współudział mieć mogła z ludnością znajdującą się w dziedzińcu, w sali.

Dla sądowego załatwienia sporów, służy po za korytarzami założone miejsce, kolumnami od tych korytarzy oddzielone, nazwane dla przeznaczenia swego, trybuną.

Bazylika starochrześciańska różni się od opisanej tem, iż tak środkowa sala jak i obok

*

niej po obu stronach ułożone nawy, służą do zebrania pobożnych. Gmina w kierunku tych naw zwraca swoję uwagę do jedynego ołtarza, który ustawiają przed trybuną.

Celem zatem założenia jest umieszczenie ołtarza w taki sposób, ażeby go oglądać mogła licznie zebrana gmina. Dlatego też główna szeroka nawa, dziedzińcowi pogańskiej bazyliki odpowiadająca, przedłuża się w kierunku do ołtarza. Nie jest ona jak w pogańskiej bazylice celem budowy, tutaj tylko pośrednio służy do osiągnienia celu. Celem założenia kościoła jest *ustawienie ołtarza*. A nawy służą tylko do pomieszczenia nabożnych.

Dla wskazanych powyżej względów nie otaczają korytarze tej głównej nawy. W osi tej nawy, w kierunku do ołtarza jest widok wolny i brama tryumfalna łączy nawę z trybuną. W miejsce sędziów zasiadają po za ołtarzem biskupi w trybunie.

Jako symbol widoczny przewodniczącej myśli chrześciaństwo stawia przed trybunę ołtarz, na którym gmina widzi przemienienie ciała Pańskiego; i tem samem zmienia trybunę sądu świata pogańskiego w Sanctuarium kościoła katolickiego. I oto całe przeobrażenie bazyliki pogańskiej na kościół katolicki.

Forma ta, twórczą ideą uzyskana staje się typową przez wieki, równie jak grobowiec pogański w uroczym jego majestacie, uznano za wyborny symbol do przedstawienia potęgi kościoła.

Kiedy kościół zachodni tj. rzymski, bazylikę przeważnie przyjmuje i dochodzi do dalszych konsekwencyi tej myśli przez wiekowy rozwój, tymczasem kościół wschodni przyjmuje kopułę, formę podstawną do rozwoju szeregu stylów, aż do czasu, kiedy rzymsko-katolicki kościół w rozkwicie swojej potęgi, ten symbol (kopułę) także przyjmuje i w kościele św. Piotra doprowadza do tryumfu sztuki kościelnej. Dochodzi atoli do piero wtedy do tego tryumfu, kiedy ideom piękna z czasów przeszłych otwiera swoje bramy.

W zachodniej części państwa Rzymskiego przenoszą stolicę do Medjolanu, później do Rawenny. Pod wpływem wschodniego Państwa, tak jak od starej wiary oddzielającego się Aryanizmu, widzimy na wielką skalę zakładane kościoły, jaśniejące w pełnym stroju malowniczego układu i dekoracyi w stylu bizantyjskim.

Walki nieustanne, napływ plemion niżej w kulturze stojących, nie sprzyjają spokojnemu rozwojowi sztuki, i ztąd pochodzi jej upadek. Wskutek prześladowania religijnego opuszczają greccy artyści Bizancyum. Jedni udają się do Arabów i przygotowują ich, nieposiadających rodzimej sztuki, do rozwinięcia wyrazu nowej epoki, którą mahometańską zowiemy, a która dochodzi do rozkwitu, za panowania Maurów w Hiszpanii w XIV stuleciu, w uroczych rezydencyach Abenserragów i ich meczetach.

(C. d. n.)

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(*Dokończenie.*)

Przy śledztwie wykazano Pankowskiemu, że on w czasie tej nieszczęśliwej dwudziesto pięciodniowej wędrówki miał przy sobie pieniądze, złożone przez jego kolegów. Fakt ten całkiem niewinnej natury niespodziewanie użyty został za podstawę do cięższego oskarzenia Pankowskiego. Milutin mianowicie wspomniawszy tę okoliczność wystąpił z pytaniem, na które publiczność moskiewska śmiechem odpowiedziała.

— Wy byli zborszczykom podatiej? (Czy pan zbierałeś *podatki*?)

— Podatki mogą się ściągać tylko tam, gdzie są źródła dochodów, odpowiada, Pankowski nie przypuszczam zaś ażeby pan prezydujący, w tych warunkach w jakich nas Moskwa za Bajkałem postawiła, nędzę i baty kozackich strażników nazwać chciał naszym dochodem. W takim razie powinienby on należeć całkowicie a nie w podatkach do tych, którzy go rozdzielali!

— Proszę odpowiadać bez drwin, u pana znaleziono pieniądze, które jak się przy śledztwie pokazało, dane panu były przez kolegów.

— Tak jest; ale nie były to podatki.

— Kto pana i jego towarzyszów do powstania namawiał?

— Nie rozumiem pytania — odpowiedział Pankowski. Ze śledztwa widział pan, że byli i tacy którzy nie chcieli brać udziału, a zatem ci co do ruchu więźniów należeli musieli to czynić z własnych pobudek. Zresztą za innych nie będę odpowiadał; co zaś do mnie to powiem, że mając swoję wolę, wszystko o co mnie panowie posądzacie robiłem nie jak dziecko, (malczyszka) ale jako człowiek zdający sobie sprawę ze swoich czynów.

Następnie zapytuje Milutin: w jakim celu rozstawił Pankowski swoich strzelców, nad rzeką Miszyszychą?

— Tego już objaśniać niepotrzebuję, odpowiada oskarzony, bo każdemu jest dobrze wiadomem, że strzelcy mają przeznaczenie wyraźne, strzelać do przeciwników.

Po kilku innych niedołężnych pytaniach prokuratora, które po prostu stawiane były dla tego aby czas na sądy publiczne przeznaczony zająć, przyprowadzono z kolei pod silną eskortą bagnetów Alb. Popławskiego, który po kilku zrobionych mu zapytaniach, krótkiemi odpowiedziami chciał się załatwić z prokuratorem, lecz ten widząc, że ma do czynienia z zapalonym młodzieńcem, któremu natura odmówiła daru, czystej i bezzająkliwej wymowy, postanowił zapał jego śmiesznym w oczach publiczności uczynić i w tym celu przemówił doń ujmująco: może pan zechcesz powiedzieć co na swoją obronę?

Popławski korzystając z pozwolenia wyjął z kieszeni kawałek papieru i oddając go Milutinowi powiedział: Pan prokurator zechce odczytać moją obronę, bo mówić nie mogę.

Nie pozostało więc nic innego Milutinowi, jak przygryzając usta, oddać pismo do przeczytania głośnego. I tym sposobem publiczność usłyszała co następuje:

„Ciekawi jesteście, przynajmniej pytaliście mnie w czasie indagacyi, co mną kierowało przy wzięciu udziału w ruchu więźniów za Bajkałem?

— Nic więcej tylko zemsta, którą dla was jako moich wrogów oddycham! Kiedym był jeszcze małym chłopcem, nauczono mnie kochać kraj i poświęcić swe życie w obronie jego i w obronie praw człowieczych, które tak niecnie Car i jego rządy depczą Gdy nadszedł r. 1863 uczułem się szczęśliwym, że nadeszła chwila w której będę mógł urzeczywistnić moje pragnienia i marzenia chłopięce! Stanąłem w szeregach powstańczych, lecz los zrządził inaczej niż chciałem! zamiast zginąć po spełnieniu moich życzeń ujęto mnie przed czasem i zamknięto w więzieniu.*) Tam już własnemi oczami zmusiliście mnie patrzeć na te zbrodnie, których się Moskwa dopuszczała nad moimi braćmi! Jeszcze po dziś dzień widzę tych konających starców na słupach szubienicznych! do dziś dnia mam przed oczami ich osierocone rodziny, ginące z boleści i rozpaczy! jeszcze dzisiaj widzę przyjaciół i kolegów ginących od kul moskiewskich! Serce moje było szarpane podwójnie, bo go rozpacz targała i żądza zemsty paliła! Myslałem wówczas, czy też przyjdzie jeszcze taka chwila w której będzie można zemścić się na sprawcach zbrodni! Po niejakim czasie z łona kraju i rodziny wyrwaliście mnie i przenieśliście w puszcze, do których droga zbroczona krwią i łzami polskiemi prowadzi. Wy znacie te puszcze, te miejsca przekleństw; to wasza Syberya, to wasz Bajkał, nad brzegami którego, kazaliście nam pełnić służbę bydlęcia w jarzmie! Niepotrzebuję mówić jak serce we mnie radością zadrgało, gdy tu, na wygnaniu nastąpiła chwila, w której znów mogłem chwycić za karabin, który wydarłem waszemu kozakowi! Może będziecie jeszcze pytać, dla czego wziąłem udział w wybuchu? moje życie powyżej streściłem moje myśli jasno wypowiedziałem, i to co powiedziałem niech wam służy za żądaną odemnie obronę."

I Sędziowie i prokurator zmięszali się wywoławszy wilka z lasu, publiczność ze zdziwieniem słuchała tego, o czem jej nawet myśleć nie było wolno a co Polacy z taką nieulękłością przed swoją śmiercią wypowiadali! Milczenie grobowe trwało jeszcze długą chwilę zanim przerwały je rozkazy wprowadzenia nowych więźniów. Sędziowie z Milutinem byli już coraz ostrożniejsi z żądaniem obron od więźniów. Unikano zapytań, ograniczano się tylko na formie. Wielu było przesłuchiwanych, lecz ci mało już mówili, bo im niedozwolono, każdy więc z więźniów zakończał temi słowami, *niczewo nieskażu* albo bolsze nieskażu. Publiczność wstrzymywała się od widocznych oznak sympatyi dla więźniów, a jeden z półkowników moskiewskich przechodząc koło nich w gromadę zbitych, poklepawszy jednego po ramieniu powiedział „*Maładcy* (dzielne chłopcy) *wsia publika uznała.*"

Zawezwano dalej Eljaszewicza; ten leżał ranny i niemógł osobiście stanąć przed sądami, przysłał zatem także piśmienną *obronę*, przy której odebraniu, komissya okazała nowe zakłopotanie musiała jednakże dokument głośno odczytać.

„Niepowinno to nikogo dziwić, pisał Eljaszewicz, że chciałem zginąć w obronie własnego bytu, bo wolność nietylko dla Polaka jest najdroższym darem Boga ale nawet dla najciemniejszego syna natury jakim jest każdy dziki Ostyak, Eskimos lub Kamczadal. Mój dziad, będąc w tych stronach waszego carstwa, w tem samem położeniu co ja, wracając do kraju zabrał ze sobą dwóch Kamczadali a otoczywszy ich tem wszystkiem, co zwykłemu człowiekowi wydaćby się mogło dobrym bytem, chciał ich zaaklimatyzować w stronach swoich, odległych od ich lodów i pustyń. Wszystko mieli, ale nie stało im rodzinnej ich ziemi! Na pościeli miękkiej, wśród zadowolenia ich zachceń oderwani jednakże od swego świata w lat parę z tęsknoty umarli. Widzicie

*) Popławski należał do partyi Bogusławskiej, na Ukrainie która na drugi dzień rozbitą została przez Moskali przy pomocy ludu wiejskiego.

więc jaki to ból być musi, wskutek którego, dziki nieucywilizowany człowiek ginie, a wy chcielibyście aby Polak zakuty w wasze łańcuchy, któremu zamordowaliście ojca i brata; którego siostry porwaliście na praczki batalionowe, którego tysiącem mil rozdzieliliście od grobów wymordowanej rodziny, któremu powietrze zatruliście jadem niewoli, i wy chcecie aby ten Polak uczyniony przez was zwierzęciem znosił to bez szemrania, żył w waszem służalstwie i zemstą ku wam nieoddychał? Zanadto cierpień i męczarni! Wolałem raczej umrzeć, i to pragnienie było jedynem, które mnie do ruchu przyłączyło; za tym głosem, któryście wy w moich piersiach rozbudzili, poszedłem, a jeżeli chcecie być sprawiedliwymi sędziami sądźcie przyczyny, które nie w nas ale w was istnieją!“

Podobnych „obron“ trzeba było spodziewać się jeszcze więcej; było do przesłuchania jeszcze wielu takich, którzy mówić mogli, ale sędziowie oswoili się z tem i podczas gdy publiczność milcząco się zachowywała, oni zimno sprawę traktowali. Kazali przywołać Celińskiego.

Celińskiego wprowadzili sołdaci zupełnie wyniszczonego. Nigdy nie miał on miny dziarskiej, dziś mniej niż kiedykolwiek; był to uwiędły starzec, bez sił, bez energii, słowem żyjący trup. Na zapytania odpowiadał zwykłym sposobem a gdy zapytano o jego obronę, począł się bronić wcale nieszlachetnie wskutek czego wolimy treść jej pominąć. Moskale oczywiście skwapliwie ją notowali i była to jedyna obrona, która ujęła sędziom przykrości słuchania.

Zadziwiać musi, że ów starzec wytrawny i wiekiem i przejściami, myślał tak dziecinnie, że się nieprawdą wyratuje od niezawodnej śmierci, niezjednawszy sobie tą szczerością obłudną ani sędziów ani publiczności, oburzywszy kolegów na siebie. Szczęściem, śmierć bohaterska przed którą znów stanął nieulękle okupiła w części niegodną słabość w obec sędziów.

Po ukończeniu tej komedyi publicznej i po niejakiej przerwie wprowadzono znów więźniów, aby im odczytać zapadłe wyroki. Utworzono sześć kategoryj z których do pierwszej należeli przywódzcy w liczbie ośmiu, mianowicie: Szaramowicz, Celiński, Raynert, Kotkowski, Pankowski, Eliaszewicz, Kwiatkowski i Wroński, wszyscy skazani na rozstrzelanie; do drugiej kategoryi, do której wliczeni byli Popławski, Myszkowski, Letner i wielu innych, co dziesiąty na rozstrzelanie a pozostali na całe życie w katorgi i po 80 pletni; do trzeciej kategoryi należało niewielu i ci skazani zostali na podwyższenie lat katorżnych, stosownie do zachodzących obwinień; do czwartej zaliczono prawie już nienależących do ruchu i ci mieli mieć skute ręce i nogi przez czas katorznych lat; piątą stanowili jeszcze mniej skompromitowani, na których więc padał zaledwie jakiś cień podejrzenia i nad którymi miała być tylko rozciągnięta surowa czujnośc władz katorżnych przez jeden rok; i nareszcie szósta, prawie już nikogo nie obejmowała bo do niej mieli należeć tylko ci, którzy od zarzutów uwolnieni zostaną.

Po przeczytaniu wyroków rozdzielono skazanych po więzieniach odtąd jeszcze więcej obostrzonych. Pierwszą kategoryą odprowadzono na odwach główny, gdzie ich cele znajdowały się w pośrodku kordygard sołdackich i gdzie bezustanna wrzawa sołdatów i pijaków schwytanych przez policyą po nocach i tam osadzanych, była straszliwą dla przygotowujących się na śmierć więźniów.

Z przyczyny, że w czasie sądów publicznych, na których wyroki odczytane zostały, naczelnik wschodniej Syberyi generalny gubernator Dundukow-Korsakow przebywał w Petersburgu, wyroki miały być odesłane tam do jego podpisu, tem więcej, że Korsakow otrzymał był to samo prawo jakie w czasie powstania 1863 r. mieli Murawiew na Litwie, Anenkow na Ukrainie a Berg w Kongresówce.

Traf chciał, że również w tym czasie gdy wyroki odesłano do potwierdzenia — w Petersburgu przygotowywano się do wielkich uroczystości z powodu zaślubin następcy tronu Aleksandra Aleksandrowicza z duńską księżniczką Dagmarą. Moskale, którzy, jeżeli mają pojęcie o jakiejś wyższej Istności, to takowe czerpią z pojęcia o carze, a przelewając z cara blask na Boga, wyobrażają go sobie w postaci kawalergardy na koniu, na wzór pomnika Mikołajowskiego w Petersburgu; wierzą zatem, że car jest nieskończenie dobrotliwym w miłosierdziu swojem i niem obdziela niewolników wówczas, gdy to uważa za stosowne na wzór miłosierdzia bożego. Z całą przeto ufnością wierzyli w to, że po skarceniu Polaków, przy nadejściu dnia wesela w Petersburgu i wyroki zastąpione zostaną ogólnem ułaskawieniem. Taką była wiara ciemnego ludu, ludzie zaś należący do wykształconych, mając w rękach hymny śpiewane w Petersburgu na cześć anielskiej dobroci przyszłej Monarchini jak również opierając się na tem, że podobne wydarzenia sprowadzają zawsze jakieś łaski dla poddanych, byli najmocniej przekonani, że wyroki w Petersburgu zupełnie unieważnione zostaną i że sprawa zabajkalska jako niemająca żadnego innego następstwa oprócz chwilowych i miejscowych zamieszań, niezawodnie po jej zatarciu na ważności utraci. Ogólne przekonanie było takie a popierała je jeszcze więcej ta okoliczność, że zwrot wyroków ulegał niezwykłemu opóźnieniu i zaczęto nawet mniemać, że sprawa puszczoną będzie w zapomnienie.

Nareszcie wyczekiwany feldjäger z Petersburga przybywa wioząc ze sobą tajemne wyroki, Prawo wymagało ażeby były one wykonane trzeciego dnia a dziwnym zbiegiem okoliczności był to właśnie dzień ślubu następcy tronu.

Teraz nie mogło już być żadnej wątpliwości o pomyślnym rezultacie dla więźniów; dzień zaślubin obchodzony był przez lud moskiewski jako najwyższe święto; szalano też dzień i noc i spełniano wiwaty za zdrowie najdostojniejszej pary.

Dopiero na drugi dzień po należytem i zwyczajami przyjętem uświęceniu carskiego święta nastąpiło rozczarowanie wszystkich Moskali. Korsakow podpisał wszystkie wyroki na mocy ustnej odpowiedzi cara. Gdy się mianowicie zapytywał jak sprawą tą pokierować, car odpowiedział: *„pastupit' pa zakonam“* a więc z przysługującem mu prawem pewnej modyfikacyi wyroków, Korsakow zatwierdził takowe.

Natychmiast władze zabrały się do ogłoszenia i wykonania wyroków mianowicie kategoryi pierwszej przeznaczonej na rozstrzelanie. Roztworzono ponownie więzienia na odwachu a wyprowadzając z nich Pankowskiego, Eljaszewicza, Kwiatkowskiego i Wrońskiego odsyłając ich do więzień pałaty, gdzie były inne kategorye, — pozostałym czterem przeczytano konfirmacyą wyroku śmierci.

Na trzeci dzień rano o 7ej. zajechały wozy, wojsko otoczyło koszary, massy ludu zaległy ulice i place. Cisza i poważny spokój panowały wśród tłumów. O ile wzburzenie miotało pospólstwem, gdy nieszczęśliwych zabajkalców wprowadzano z Zabajkału do Irkucka, o tyle teraz współczucie przejmowało wszystkich. Policya i kozacy biegali od świtu po mieście, przestrzegając aby żaden z Polaków mieszkania nieopuszczał. Wyprowadzono jeszcze niewyleczonych z ran Szaramowicza i Kotkowskiego, następnie Celińskiego i Raynerta. Raynert chciał pieszo odbyć podróż, ale mu nie pozwolono Zajęli po dwóch miejsca w wozach naznaczone i orszak cały ruszył na odległe przedmieście zwane *Uszakówką*. Był to dzień 8go Listopada, nadzwyczaj mroźny i mglisty od szronu śnieżnego. Pochód trwał blisko godzinę, posuwano się bowiem noga za nogą. Szaramowicz z uśmiechem spoglądał do koła, zrzuciwszy z siebie płaszcz nakrywający koszulę i gdyby nie smutne akcesorya śmierci trudno byłoby odgadnąć, że ten człowiek żegna w tej chwili na zawsze świat i Polskę, którą nad życie ukochał. Kotkowski i Raynert*) również z całym spokojem i zimną krwią patrzyli na swój pogrzebowy kondukt a nawet Celińskiego twarz młodzieńczym ogniem zajaśniała! To też przez cały czas, Moskale wytężony wzrok mieli na Polaków bohaterów a ci na okazywane im współczucie tłumów, odpowiadali uśmiechem, wywołując jeszcze większy podziw, i większe wrażenie na Moskalach! Kiedy Szaramowicza z kolegami przywieziono na miejsce ekzekucyi, kazano im wysiąść; tam oczekiwał ich już ksiądz Szwernicki.**) Wyszedł on kilka kroków naprzód ku wysiadającym aby im udzielić ostatniego błogosławieństwa i pożegnać ich na

---

*) Jednym jeszcze z punktów mocno obciążających i istotnie do śmierci Raynerta przyczyniających się, było następujące zeznanie policmajstra Domańskiego w Irkucku. W czerwcu, zaraz po przeczytaniu manifestu, którym zmniejszono kary wszystkich więźniów, było nadzwyczaj łatwem, tym co pozostali w katorgach uniknąć drogi za Bajkał, a pozostać w okolicach Irkucka w katordze Aleksandrowskiej, lub Uralskiej.

Ponieważ Raynert pierwej starał się o to aby pozostał w Aleksandrowsku i niebył za Bajkał wysłany a tego nieuwzględniono ze strony moskiewskiej, gdy się stosunki zmieniły sam policmajster proponował Raynertowi aby pozostał w Irkucku i nawet w dzień wymarszu powtórzył mu że jeżeli sobie tego życzy, może nienależeć do wysyłanych za Bajkał. Raynert jednakże odrzucił propozycyę stanowczo, nie robiąc tego z innych powodów jak tylko z tych, że kółko jego przyjaciół, już dniem przed tem udało się w drogę.

Gdy śledztwo następnie było w toku i przy nim zasięgali Moskale różnych wskazówek mogących rzucić jakieś światło na organizacyą ruchu, policmajster Domański niezawodnie nieprzypuszczając, że Raynertowi przyczyni się do śmierci, powiedział, że Raynert z planem jakimś musiał iść za Bajkał ponieważ propozycyę jego, w myśl pierwotnego własnego żądania Raynerta odrzucił. Nadto że w godzinę przed wyjściem jeszcze Raynert dla pożegnania się z niektórymi w mieście zamieszkałemi wyrwał się do miasta bez konwoju i samego wracającego spotkał policmajster, na zapytanie którego co znaczy, że sam chodzi po mieście, odpowiedział Raynert że odbierał sobie zegarek oddany do reperacyi. To Moskalom wydawało się tak w związku ze sprawą Zabajkalską, że kara śmierci nie nastąpiła za udział w ruchu ale na podstawie podejrzywań, że Raynert musiał być twórcą niebezpiecznej początkowej agitacyi, której nieudałym skutkiem był ruch zabajkalski.

**) Proboszcz w kaplicy polskiej w Irkucku również były więzień zesłany na Syberyę w 1838 za sprawę Konarskiego. Na udzielone mu ułaskawienie w 1866 nie powrócił już do kraju, nie mając w nim nikogo a czując że więcej użytecznym będzie na miejscu, pozostał w Irkucku zostając już stale przy kościółku Polskim i będąc odtąd prawdziwie dla wygnańców duchową pociechą i łącznią przeszłości równie straszliwej z teraźniejszością.

wieczną wędrówkę! Szaramowicz chcąc uprzedzić kapłana podbiegł ku niemu! Staruszek był blady i cały drżący. Widząc to Szaramowicz ze zwykłą sobie pogodą i uśmiechem przerwał ciszę: „Ojcze, zamiast nam dodać otuchy, aby śmiało przyjąć śmierć z rąk tych niewolników caryzmu, aby im pokazać, że za wolność Polak umie umierać, ty sam upadasz i potrzebujesz pociechy bo ręka ci drży, którą masz błogosławić! Bądź dobrej myśli polski kapłanie, módl się nie za nas ale za przyszłość Polski! Dla nas jest obojętnem czy zginiemy na własnej ziemi za jej swobody, lub czy nas zamordują na wygnaniu! Idea co nam w życiu przyświecała nie zginie!“ Tak rozmawiając zbliżali się zwolna do miejsca przeznaczenia a tam Szaramowicz zwróciwszy się do kolegów i uściskawszy się z nimi poszedł bliżej ku czterem słupom wbitym w ziemię. Opatrzył je a utwiwszy wzrok w jednym, zatrzymał się przy nim czekając zbliżenia się o kilka kroków dalej idących towarzyszy. Gdy już wszyscy miejsca przeznaczone zajęli a oprawcy zabierać się zaczęli do nakładania śmiertelnych koszul, Szaramowicz pochwycił czapkę ze swej głowy a rzucając nią w górę, zawołał donośnie: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Towarzysze śmierci powtórzyli ostatni wyraz „nie zginęła“ i po chwili niedługiej, rozległy się strzały a cztery zakrwawione ciała obwisły na słupach martwe i bez czucia!

Tak nie umierają niewolnicy!

Prawdziwe rozrzewnienie ogarnęło masy widzów, niejedna łza prawdziwego współczucia spłynęła nawet po twarzy wroga a wykształceni i myślący szeptali z cicha: „Kraj co ma takich synów, nie może zginąć!“

Po skończonej egzekucyi udały się wszystkie władze do więzień Pałaty aby tam odczytać konfirmacye innym więźniom. Roztworzono zamki, wypuszczono ich na dziedziniec i przy stosownych ceremoniach odczytano zmiany konfirmacyjne które brzmiały jak następuje:

Z pierwszej kategoryi pozostałych czterech na całe życie w katorżne roboty z zakutemi rękami i nogami.

W drugiej darowano dziesiątkowanie i pletnie, zatrzymując na całe życie katorżne roboty z okuciem rąk i nóg.

Kategorye trzecia, czwarta, i piąta zostały niezmienione.

Po odczytaniu zabrali się Moskale zaraz do spełnienia wyroków i droga za Bajkał, tylokrotnie stopą polską deptana, na nowo ożywiła się; pędzono nią bowiem po raz trzeci tychże samych więźniów lecz już nie do robót na *drogę krugomorską*, ale w Nerczyńskie katorgi gdzie bunty nie łatwe i świat za daleko!

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom czwarty.

ROZDZIAŁ XII.

(Dokończenie).

Pan Hamlin wynosi się.

Usta Hamlina zwarły się przy tych słowach lubego zjawiska, i znowu zapadł w senność i nieczułość. Gdy się przebudził, siedziała Olly przy jego łóżku, a ciemna postać Pete, uzbrojona w okulary i zagłębiona w czytanie jakiejś książki, zarysowywała się niejasno w oknie. Zjawisko — jeżeli to było zjawiskiem — znikło.

— Olly! zawołał Hamlin słabym głosem.

— Jestem tu! odrzekła Olly ze współczuciem, szeroko otwierając niebieskie swe oczy.

— Jak długo... marzę... to jest jak długo trwał ten... urok?..

— Trzy dni, odrzekła Olly.—Ale teraz jest panu lepiej!

Hamlin uczuł niejakie powątpiewanie co do tego czy stan jego zdrowia w ostatnich dwudziestu czterech godzinach polepszył się. Zamilkł na chwilę, a potem nagle zwróciwszy się ku Olly, zapytał:

— Czyś mi co mówiła... o... o swojej siostrze...

— Mówiłam, ona jest tu — odrzekła Olly, potrząsnąwszy swemi lokami — i sądzę, że już przecie czas by się pokazała.

Owo lekceważenie siostry przez Olly wydało się Hamlinowi cokolwiek niewłaściwem. Być może dla tego, iż miał zbyt wysokie wyobrażenie o Gracyi i nie mógł sobie wystawić by była siostrą takiego Gabryela.

— Gdzie była przez ten cały czas? zapytał, utkwiwszy wielkie swe oczy w Olly.

— Bóg to wie! Mówi, że mieszkała przy jakiejś rodzinie tam, na południu, między hiszpańskimi ludźmi... być to może, bo ma ich maniery.

— Czy była kiedy tu — w tym pokoju?

— Rozumie się że była. Gdym opuściła pana, by z Gabryelem jechać do Wingdam, dla wyszukania jego żony, ona zajęła moje miejsce tu. Było to wtedy, gdyś pan tak majaczył. Ale sądzę, że dla tego tylko tu została, by się widywać ze swoim kochankiem

— Swoim... kim? zapytał Hamlin, czując jak mu krew uderza w bladą twarz.

— Swoim kochankiem — powtórzyła Olly — tym Ashleyem, czy Poinsettem, czy jak się tam nazywa.

Hamlin tak dziwnie spojrzał na Olly, a ręka jego tak mocno scisnęła jej rękę, że rozsądna dziewczyna na poczekaniu opowiedziała mu historyą dawniejszych wędrówek Gracyi i miłość jej dawniejszą ku Arturowi Poinsett. Opowiadanie to, przy owoczesnem usposobieniu Olly względem Gracyi, nie było zbyt pochlebne dla tej ostatniej.

— A teraz tu przybyła - rzekła w końcu — jedynie by znowu zobaczyć się z Arturem. Tylko co nie przyprawiła brata o śmierć, a teraz chce przekonać, że robiła to tylko dla utrzymania nazwiska rodziny. Jak gdyby to szczególnie miło mogło być Gabryelowi, gdyby powieszony został pod własnem swem nazwiskiem. A potem staje tu i obwinia niewinnego starego głupca Gaba, że utworzył z Julią spisek, by ukraść jej nazwisko. A ten, ten Poinsett, nigdy nie pafatygował się, jak sam przyznaje, by zobaczyć ją, albo nas. A ona mi wyrzuca takie moje zdanie i bierze go w obronę i mówi, że sama życzyła sobie by nie wiedziano gdzie się znajduje. A na dobitek nie chce odwiedzić Julii, biednej Julii, która tam leży w Wingdam z nowonarodzonem dziecięciem.

— Ależ siostra twoja nie uciekła z tym... z tym człowiekiem. Ona poszła szukać pomocy, przerwał Jack, nagle zwracając Olly do dawniejszego opowiadania.

— Tak? A czy nie mogła czekać nim on powróci, jeżeli wiedziała, że tak ją kocha? A przytem to paplanie Gabryelowi, że Julia pokrzywdziła ją na honorze. Jak gdyby sama nigdy nie zrobiła nic takiego co własne imię jej krzywdzi i...

— Bądź cicho! zawołał Hamlin, gwałtownie miotając się na poduszkach, bądź cicho!... czyż nie widzisz, że do szaleństwa doprowadzasz mnie piekielną swą gadaniną!

Zatrzymał się, gdy Olly na pół zmięszana, na pół obrażona umilkła, a potem mówił dalej łagodniej:

— Dziś czuję się niedobrze. Przyszlij mi doktora Duchesne, jeżeli jest tu.

Olly szybko się zerwała.

Po chwili znakomity lekarz wszedł z mniejszemi ostrożnościami niż to zwykle czynił. Przybliżył się do łóżka pacjenta i chciał wziąć go za rękę, ale Jack ukrył ją szybko pod kołdrę i zapytał doktora, ostro wpatrując mu się w oczy:

— Czy mogę być wyniesiony ztąd?

— Możesz, ale nie radziłbym.

— O to nie pytam. Teraz gram partyą solo, doktorze, i jeżeli przegram, to nie będziesz pan temu winien. Jak prędko będę mógł wychodzić?

— Mógłbym powiedzieć, odparł dr. Duchesne z oględnością właściwą swemu powołaniu — że, jeżeli nie zajdą jakie złe symptomata, to pan (tu chciał wziąć Jacka za puls, ale bezskutecznie) to pan będziesz mógł wychodzić za tydzień.

— Ja muszę teraz wyjść.

Dr. Duchesne nachylił się nad swym pacyentem, wpatrzył się w niego uważnie i widocznie coś dostrzegł w jego twarzy, co uszłoby baczności innego, gdyż następnie powiedział:

— Pan możesz wyjść i teraz... ale z wielkiem narażeniem życia.

— Biorę to na siebie—odrzekł Hamlin stanowczo — znowu grałem nierówną partyą — dodał ze słabym uśmiechem — teraz nie ma już czasu wycofywać się z gry. Idź pan i powiedz niech Pete spakuje rzeczy i przygotuje się.

— Dokąd zamierzasz udać się? — zapytał doktor.

— Tam!... do wszystkich djabłów! zawołał Hamlin dziko. Potem jednak, zmiarkowawszy, że ze względu na towarzysza podróży wypada wskazać miejscowość dostępniejszą, dodał po chwili: Do misyi San Antonio.

— Bardzo dobrze — odrzekł doktor z powagą.

Rzecz szczególna, że czy to wskutek lekarstwa przepisanego przez doktora, czy też wskutek rozbudzenia się jakiejś bezczynnej dotąd żywotnej siły, dość że od tej chwili Hamlin znowu odzyskał energią. Przygotowania do drogi prędko zostały poczynione i wkrótce wszystko było w porządku.

— Nie życzę sobie słyszeć dokoła żadnego świegotania — powiedział unikając pożegnań — rzucam karty; wy możecie grać dalej.

Niemniej jednak Gabryel niezgrabnie zwijał się koło powozu, w którym Hamlin siedział.

— Chciałbym pojechać za panem w bryczce, powiedział skromnie, ale zatrzymuje mię tu moja żona.. jeszcze bardzo osłabiona z powodu małego dziecka... ot takiej mniej więcej długości... ponieważ pan sam nie jesteś ojcem rodziny, to zaledwie możesz mieć o tem wyobrażenie... Sądziłem także, że przyjemnie będzie panu wiedzieć, że wczoraj dałem porękę za tego pana Perkinsa... który tego Ramireza nie zabił... bo ten sam się zabił... ale pociągnęli go do śledztwa, o czem, jak sądzę, pan nie wiedziałeś... Cieszę się, panie Hamlin, że się panu tak polepszyło i rad jestem, że Olly z panem jedzie. Sądzę, że i Gracya pojechałaby, ale...

— Ruszaj! krzyknął Hamlin dziko na woźnicę — na jakiego djabła czekasz jeszcze?

I z pod warczących kół wzbił się kłęb kurzawy, który otoczył Gabryela; osłabiony Hamlin padł na poduszki powozu.

Zdawało się jednak, że w miarę jak wzrastała odległość od One horse gulch, siły Hamlina coraz bardziej wzmacniały się, i gdy przybyli do San Antonio odzyskał znowu dawną swą zuchwałość i swobodę, co we wszystkich — z wyjątkiem doktora — wzbudzało najlepszą nadzieję. Gentleman ten, raz starannie obejrzawszy swego pacyenta, powiedział pewnego wieczora poufnie do Pete:

— Sądzę, że ta egzaltacya potrwa jeszcze ze trzy dni. Teraz jadę do San-Francisco. Po trzech dniach powrócę... chybabyś mię poprzednio wezwał telegrafem.

Wesoło pożegnał się ze swym pacyentem, a smutno i poważnie z innymi.

Następnego dnia Hamlin przeniesiony został do rancha „pod Błogosławionym Rybakiem," i nie zważając na to, że właścicielka jego była nieobecną, umieszczony tam jak najwygodniej. Gdy Sepulvida powróciła ze swej wycieczki do San-Francisco, zrazu zdziwiła się, potem rozgniewała, w końcu uradowała.

Zaraz bowiem w pacyencie poznała owego tajemniczego nieznajomego, którego przed kilku tygodniami zauważyła na równinie „Świętej Trójcy." Pielęgnowała więc Hamlina, na dzień ustępowała mu swej maty zawieszonej w podsieniu, a na noc przyrządzała najwygodniejszą sypialnię. W końcu jednego dnia powiedziała mu figlarnie:

— Sądzę, że już kiedyś widziałam pana... w rancho pod „Świętą Trójcą." Przypominasz pan sobie... dom donny Dolores? Biedna donna Dolores! — dorzuciła — Czy wiesz pan? straciliśmy ją na zawsze!

— Kiedy? zapytał Hamlin.

— Podczas ostatniego trzęsienia ziemi.

Hamlin z roztargnieniem kiwnął głową.

— O, tak! ciągnęła dalej, to bardzo smutna rzecz!.. Ale może i lepiej się stało. Pan wiesz, że kochała się bez nadziei w swoim doradcy prawnym.. w tym sławnym Arturze Poinsett!... Ha! może to była łaska Boga, że wziął ją do siebie nim się dowiedziała jak fałszywem było przywiązanie tego człowieka! Czy wierzysz pan w zrządzenie opatrzności, panie Hamlin?

Hamlin (ze zwątpieniem). Chcesz pani powiedzieć w szansę?

Donna Maria (szybko, nie zrozumiawszy Hamlina). No, może pan masz podstawę do takiego wyrażania się. Biedna donna Dolores była moją przyjaciółką. A jednak, czy dasz pan temu wiarę? są ludzie — pan wiesz jak czasami plotki bywają śmieszne — a jednak są ludzie, którzy sądzą, że on na mnie zwracał uwagę.

Pani Sepulvida z kokieteryą pochyliła głowę. Potem nastąpiła długa pauza. W końcu Hamlin zawołał słabym głosem:

— Pete!

— Jestem, massa Jack.

— Czy nie pora już przyjąć lekarstwa?

Gdy dr. Duchesne powrócił, nie słuchał niespokojnych wypytywań Olly lecz powiedział Hamlinowi:

— Dzisiejszego rana bardzo uszczęśliwiłeś Pete tem żeś mu powiedział, iż wierzysz w to w co on wierzy.

Słaby uśmiech przeleciał po wychudłej twarzy Hamlina.

— Bardzo potężnie nawracał mnie — odpowiedział — i sądzę, że mogłem zrobić mu tę przyjemność oświadczając, że wszystko jest tak jak on mówi. Bo widzisz pan, stary ten mocno niepokoi się o mnie; a między nami mówiąc, doktorze... nie wiele mu tem zrobiłem... to nie jest gra uczciwa...

— Więc sądzisz że umrzesz? zapytał doktor z powagą.

— Tak mi się zdaje.

— I nic mi nie polecasz?

— Tam, w Sacramento, jest jeden przeklęty pies. Jim Briggs, który pożyczył u mnie oprawne w srebro pistolety i nie zwrócił... niech go wszyscy diabli porwą! Pistolety te chcę ofiarować panu. Powiedz mu pan, że najlepiej zrobi gdy je odda, bo ja mu..

— Jack, — przerwał doktor, z niezmierną łagodnością kładąc rękę na ramieniu chorego — nie potrzebujesz o mnie myśleć.

Jack uścisnął rękę swego przyjaciela i mówił dalej:

— Jest w Wingdam w banku zastawniczym moja dyamentowa spilka, a pieniądze za nią wziął adwokat Maxwell dla opłacenia świadków tego przeklętego głupca Gabryela. A potem, gdyśmy z Gabryelem umknęli, przypadek zrządził, że spotkałem się z Perkinsem, głównym świadkiem Gabryela, a ten był zupełnie bez grosza; dałem mu mój pierścień z soliterem, ażeby sobie poradził. A małej Olly dałem bryłkę złota by z niej zrobić kubek*) dla dziecka tej tygrysicy... Gabryela żony... tej pani Devarges. A mój zegarek... do wszystkich diabłów kto otrzymał mój zegarek? rzekł zastanawiając się.

— Nie łam sobie głowy nad takiemi rzeczami, Jack. Może masz komu parę słów do przesłania?

— Nie.

Potem nastąpiła długa pauza. Było tak cicho, iż można było słyszeć stuk zegara na kominku.

— Dokt.. szepnął w końcu Jack z wysileniem.

— Co chcesz, Jack?

— Nie mów... Pete... żem... zadrwił... z niego...

— Nie, Jack.

Oba milczeli kilka minut. Następnie dr. Duchesne ostrożnie wysunął swą rękę, i dwie białe i przejrzyste ręce pacjenta położył na kołdrze. Dwie czy trzy zaniepokojone twarze wysunęły się ku niemu.

— Pete—zawołał doktor poważnie — tylko jeden Pete niech wejdzie.

Stary murzyn wszedł drżącym krokiem. Ujrzawszy białą twarz pana swego na poduszkach wydał krzyk... hysteryczny krzyk, właściwy swej rasie i padł na kolana przy łóżku Czarna i biała twarz znalazły się blisko siebie — obie zroszone łzami.

Dr. Duchesne podszedł i właśnie chciał położyć rękę na ramieniu starego sługi; ale zatrzymał się, gdyż nagle i dziko dwie czarne ręce podniosły się do góry, a czarna twarz z wywróconemi białkami, schyliła się ku ziemi i Pete zawołał:

— O, ty wielki Boże na niebie! którego droga krew zmywa czarne i białe owce i wszystkie wszelakiej barwy! O, Ty Baranku boży! Ratuj! ratuj tego biednego człowieka! O, Boże Panie! zrób to dla mnie! O, ty Boże, tam w górze! Ty wiesz, że od dwudziestu lat Pete, stary Pete, poszedł twojemi drogami... ciebie Boże i twego ukrzyżowanego znalazł!... i sługą Twoim został. O, Ty, Boże i Panie! jeżeli wszystko Tobie równo, to niech już stary Pete pokutuje, a zeszlij twą łaskę i przebaczenie na niego!

*) Zwykły chrzestny podarunek w Anglii i Ameryce.

ROZDZIAŁ XIII.

Znowu stara chata.

Nie było wielkich trudności w przeprowadzeniu uznania praw Gracyi Conroy do posiadłości Conroy, na podstawie ustępstwa doktora Devarges. Tożsamość jej została potwierdzona przez pana Dumphy, który tem chętniej przychylił się do tego, że pozbawiał się tym sposobem przykrego powątpiewania co do śmierci swej żony i że prawo jego do odkrycia minerałów nic na tem nie szkodowało; chociaż właściwie, wskutek „opadnięcia rudy", kopalnia została opuszczona i stosunkowo niewielką wartość przedstawiała.

W kilka tygodni po śmierci Hamlina, Gabryel i Olly znaleźli się znowu przy skromnej starej chatce, aby obejrzeć czy nie da się to dawne miejsce ich pobytu odrestaurować, ponieważ Gabryel stanowczo odrzucił wszelkie prośby Gracyi by zatrzymał dawne swoje pomieszkanie. Pani Coroy z dzieckiem mieszkała w hotelu.

— Wiesz, Olly — rzekł Gabryel — sądzę że fura desek i parę dni roboty chętnemi rękami, znowu przywróci tę chatkę do dobrego stanu, tak jak była ongi gdy ty i ja dziećmi byliśmy.

— Tak, — rzekła Olly w roztargnieniu.

— Dobre czasy przyżyliśmy tu, Olly... ty i ja.

— Tak, rzekła Olly, błądząc wzrokiem po okolicy.

Gabryel spojrzał na siostrę, a potem nagle pochwycił obie jej ręce i usiadł na progu we drzwiach, sadzając Olly według dawnego zwyczaju na kolanach.

— Ty nie słuchasz kochana Olly! powiedział.

Tu panna Olimpia natychmiast i nielogicznie zalała się łzami i małemi swemi rączkami objęła olbrzymią postać Gabryela. Stała się ona markotną i irytującą od czasu śmierci Hamlina; teraz zaś powiedziała.

— Gracya! myślałam o biednej Gracyi, Gabie!

— W takim razie — odrzekł Gabryel z niezmierną trafnością — myślałaś o przybliżającem się tu towarzystwie.

Dwie postacie poruszały się powoli po wzgórzu. Mężczyzna i kobieta — Artur Poinsett i Gracya Conroy. Olly podniosła główkę i zerwała się. Postacie przybliżały się w milczeniu. W następnej chwili, obie siostry trzymały się w objęciach. Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie zakłopotani i niewiedzący co począć.

Następnie, gdy kobiety w prędkich wyrazach wynurzyły sobie własne uczucia, dwaj mężczyźni również nielogicznie zostali uściskani. Gdy nakoniec Gracya, płacząc i śmiejąc się, puściła szyję Gabryela, pan Poinsett okazał męzką siłę ducha i zdrowy rozsądek.

Nakoniec rzekł Artur biorąc rękę Gracyi i zwracając się ku Gabryelowi.

— Teraz, gdyś znalazł swą siostrę, pozwól mi przedstawić ją jako moją żonę.

Poczem Olly rzuciła się w objęcia Poinsetta i dała mu serdeczny pocałunek braterstwa i zgody.

A potem wszyscy czworo poczęli gwarzyć, jak gdyby przez wszystkie czasy byli w najściślejszej zażyłości i razem.

— Wiesz, rzekła Gracya do swego brata — Artur i ja jedziemy na zachód, do Stanów Zjednoczonych; zaraz jutro wyjeżdżamy. Ale Gabie, Artur mówi, że dopóty nie wyjdzie, dopóki nie namówi cię żebyś znowu zajął twój dom... dom twojej żony. Ty wiesz, że my (szczególny nacisk położony był na ten wyraz *my*) że myśmy wszystko legalnie tobie przekazali.

— Mam jeden obowiązek do spełnienia względem Gracyi, rzekł Gabryel z uwagą wpatrując się w Poinsetta — jeden obowiązek, który musi być spełniony, nim będzie mogła być mowa o jakimkolwiek przekazaniu tej posiadłości. Mam cto zwrócić jej pewne papiery, które przypadkowo dostały mi się do rąk. Papier ten — ciągnął dalej, wyjmując z kieszeni zabrukaną żółtą kopertę — dostał się do mnie może przed tygodniem; złożony był w zakładzie posłańców podczas sądowej rozprawy. Sądzę, że należy do Gracyi i dlatego oddaję go jej.

Gracya zerwała kopertę, szybko przebiegła wzrokiem pismo, wydała lekki krzyk zdziwienia, zarumieniła się i schowała je do kieszeni.

— Ten tu papier — ciągnął dalej Gabryel, z powagą sięgając do innej kieszeni w swej bluzie — znaleziony został przezemnie w tunelu owej nocy gdym uciekł przed komitetem bezpieczeństwa. Należy również do Gracyi.. i do świata wogóle. Jestto zarys odkrycia zrobionego przez doktora Devarges, a mianowicie odkrycia rudy srebrnej na tym pagórku, a który (mówił dalej z coraz większą powagą) wydziera, że tak powiem z rąk, prawo do minerałów tutejszych mnie i panu Dumphy i wszystkim akcyonaryuszom wogóle.

Papier ten wziął z rąk Gabryela Poinsett i rozpatrzył go z uwagą przy słabnącem świetle dziennem.

— Jestto dokument zupełnie legalny — powiedział.

— A tu jest jeszcze jeden papier — ciągnął Gabryel dalej, teraz rękę w zanadrze zasuwając i rozkładając pugilares, z którego wyjął arkusz w kilkoro złożony, — jestto dokument na posiadanie, który doktor Devarges dał Gracyi i który biedny Meksykanin Ramirez, dał mojej żonie, a Julia, moja żona — dodał szczególnie rumieniąc się — w samej rzeczy poczytywana tam jest na Gracyą Conroy.

— A teraz, kończł Gabryel — sądzę, że będzie rzeczą całkiem właściwą gdy to nasze spotkanie się przeniesiemy do hotelu, — a ponieważ chcecie wyjechać daleko, to możebyście mogli złożyć mojej żonie, pani Conroy, pożegnalną wizytę, zapomniawszy o wszystkiem co się stało i przebaczywszy... i zobaczywszy małego chłopca... drobne biedne stworzenie! wygląda ono... pan mi nie powierzysz panie Poinsett... wygląda ono zupełnie tak jak ja!...

— Chodźmy Gracyo, rzekł Artur odwiedzić żonę Gabryela.

Gracya zawahała się na chwilę, ale gdy mąż wziął ją za rękę i uścisnął tajemniczo, szybko podała rękę siostrze i wszystko troje w wesołem usposobieniu poszli przez ciemniejący las; za nimi sunęła potężna postać Gabryela.

ROZDZIAŁ XIV.

Ślady się znajdują.

Ubolewam, że niemam żadnego szczegółowego sprawozdania o wizycie u pani Conroy, gdzie nastąpiła zgoda i mogę tylko udzielić kilka napomknień o tem, według spostrzeżeń osób, które przy tem czynne były.

Gdy już wypowiedziane zostały ostatnie słowa pożegnania i Gracya z Arturem zajęli swe miejsce w powozie pocztowym.

— Powiedz no mi, moja droga jaki to papier dał ci Gabryel? zapytał Artur żony.

Gracya wyjęła papier z kieszeni, lekko zarumieniła się, pocałowała męża, a potem objąwszy go za szyję pochyliła mu głowę na piersi, podczas gdy czytał głośno następujące wyrazy w języku hiszpańskim.

„To ma służyć za prawdziwe stwierdzenie, że 18 maja 1848 roku młoda dziewczyna, nazywająca siebie Gracyą Conroy, szukała schronienia i opieki w prezydyum San Geronimo. Przybrałam ją za moję córkę pod nazwiskiem Dolores Salvatiera. W sześć miesięcy po jej przybyciu, 12 listopada 1848 r. powiła nieżywe dziecię. Ponieważ życzyła sobie by tajemnica jej była ukryta przed światem i by nie została poznaną przez ludzi należących do jej rasy i rodziny, zgodziła się, za radą i przy pomocy Indyanki Manueli, że twarz jej i ręce codziennie myte będą sokiem rośliny *yokoto*, mającym tę własność, że cerę białą zmienia na brązową. Za pomocą takiego przemienienia się, zgodnie z moją radą i wolą, uznaną została za córkę moją i pewnej indyjskiej księżniczki. Tym sposobem przyznałem jej w należytej formie, zgodnie z prawem, na własność cały mój majątek.

Dan w prezydium San Geronimo, dnia 1. grudnia, roku 1848.

Juan Hermenegild Salvatierra."

— Ale jak się to dostało do rąk Gabryela? zapytał Artur.

— Ja... niewiem, odrzekła Gracya.

— Komu dałaś to?

— Dałam... ojcu Felipe.

— A! rozumiem! Więc ty to jesteś dawno zaginioną żoną pana Dumphy?

— Niewiem co ojciec Felipe zrobił, — odrzekła potrząsając lekko głową, — całą rzecz jemu powierzyłam.

— Wszystko?

— Tylko o tobie nic nie powiedziałam... ty!... ty wielki niegodziwcze!...

Artur ucałował ją.

— Ale tylko com wszystkiego nie opowiedziała pani Sepulvida, gdy ta zawiadomiła mnie, że zrobiłeś jej propozycyą. Czy jesteś pewny, że nie zrobiłbyś tego? zapytała wpatrując się w oczy męża.

— Nigdy! odrzekł młody człowiek prędko.

ROZDZIAŁ XV.

Ustęp z listu Olimpii Conroy do Gracyi Poinsett.

„... chłopak zdrów i wesół. I pomyśl tylko sobie, że Gabowi znowu się poszczęściło — i ty byłaś tego przyczyną, moja droga. Czy przypominasz sobie, jak opowiadałaś mi, że doktor Devarges dał ci kamień, który tarłaś, aż dopóki srebro na nim nie zabłysło? czy przypominasz sobie jak wzięłaś ze starego naszego kominka kamień i opowiadając mi historyą tarłaś go? Otóż kamień ten następnego poranku wpada Gabryelowi w oczy i pokazuje się, że także błyszczy w tem miejscu gdzie go tarłaś... Było to prawdziwe srebro! Natenczas Gab powiedział: „Znowu natrafiliśmy! ponieważ kamienie do kominka brałem z pierwszego otworu, tam na wzgórzu, nie więcej jak o sto kroków ztąd. I w samej rzeczy! wczoraj obejrzał otwór i znowu znalazł rudę. Teraz znowu wszyscy jesteśmy bogaci i następnego lata odwiedzimy was.. tylko, że ten Gab taki stary gbur!

Kochająca cię siostra.

Olimpia Conroy."

Koniec.

Z NIEZNANYCH POEZYJ.

II.

JAK MI BOŻE DOPOMÓŻ *).

Idea wiary nowa, rozwinięta,
W błyśnieniu jednem zmartwychwstała we mnie
Cała, gotowa do czynu i święta.
Więc niedaremnie! o! niedaremnie
Snu śmiertelnego porzuciłem łoże,
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Mały ja, biedny — ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroję —
I ze mnie piorun będą mieć czerwony
I z mego szczęścia do szczęścia podnoże
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Za to spokojność już mam i mieć będę,
I będę wieczny — jak te, które wskrzeszę,
I będę mocny — jak te, co zdobędę —
I będę szczęsny — jak te, co pocieszę —
I będę stworzon — jak rzecz którą stworzę:
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam czy wzrastać będą — czy ucichać.
Jest to w godzinie wielkiej zmartwychwstania,
Szmer kości, który na smętarzach słychać.
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Widząc wchód jeden tylko otworzony
I drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony
Idę z przestrogą — kto żyw pójdzie za mną...
Pójdzie chociażbym wszedlszy szedł przez morze.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Dane zwycięztwo jest nad umarłemi,
Dano jest wskrzeszać tych, co mają wiarę...
Na reszcie trumien, ja pieczęć położę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Lecz tym co idą, nie przez czarnoksięztwa,
Ale przez wiarę dam co sam Bóg daje —
W ich usta włożę komendę zwycięztwa,
W ich oczy — ten wzrok, co zdobywa kraje
Ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może —
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Z pokorą teraz padam na kolana
Abym wstał silnym Boga robotnikiem
Gdy wstanę, mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk, Ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — Aniołem, co wszystko przemoże
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

d. 13 lipca 1842 r.

Juliusz Słowacki.

*) Wiersz ten nieobjęty wydaniem zbiorowem, ukazał się w r. 1842 w paryzkim „Dzienniku Narodowym."

III.

Do * *)

Znasz ty owę noc duszy — bolu noc jesienną
Bez myśli, marzeń, szału, nawet bez tęsknoty;
Gdy z pamięci dni zbiegłych potargane sploty
Szumiąc jak liść umarły lecą w dal bezdenną?

Daremna walka! Od ócz pierzcha promień złoty...
Ból się na piersi bryłą rozlega kamienną,
Chcesz myśleć, marzyć: głowę wnet pochylisz senną,
Nie uśniesz, lecz do walki zabraknieć ochoty.

O! niech cię dobry anioł białemi skrzydłami
Zasłania od dni takich w twojej samotności!...
Patrz! ja piłem świat uczuć całemi piersiami.

Świat myśli do mnie z niebios przylatywał w gości...
Dziś mi każdą godzinę życia ten ból plami,
I nie wiem czy się kiedy doczekam światłości.

Mimo dni smutnych, które jak mgły tajemnicze
Owiały moję młodość; mimo niepokoje,
Mimo to że nadziei nie zna serce moje,
Do nieszczęśliwych rzeszy ja się nie policzę.

Skargą duszy ja nigdy ust mych nie uzbroję,
Ni mi się ból wyciśnie piętnem na oblicze.
Bo czemże wszystkie smutki, ach! wszystkie gorycze
Tej piersi co posiada zaufanie twoje.

Zda mi się, że twój anioł teraz mieszka ze mną,
Że z nim wspólnie o tobie miewamy naradę;
Przed każdą cię godziną osłaniamy ciemną.

A gdzie on skrzydła białe, tam ja serce kladę...
I cisza letniej nocy wznosi się nademną
I gwiazdkami się nieba rozpalają blade.

Mieczysław Romanowski.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

V.

Rodzina Ford.

W kilkanaście minut później, James Starr i Henryk Ford doszli do końca głównej galeryi i znaleźli się w obszernej ciemnej grocie. Jaskinia ta jednak nie zupełnie pozbawioną była światła dziennego. Przez otwór wentylacyjny, o którym wyżej wspominaliśmy, razem ze świeżem powietrzem wkradało się do komory Dochart cokolwiek światła, wystarczającego na utrzymanie w niej ciągłego zmroku, z którym oko łatwo się oswajało.

Tam to, w zagłębieniu wykutem wśród łupku, gdzie niegdyś mieściły się maszyny utrzymujące w ruchu całą eksploatacyą kopalni, zamieszkał od lat dziesięciu Szymon Ford wraz z swą rodziną. Pomimo pewnej zamożności swej, osiągniętej długoletnią pracą, a dozwalającej mu mieszkać wygodnie i swobodnie w któremkolwiek mieście Szkocyi, stary oberman wolał pozostać w kopalni, z którą zrósł się niejako, gdzie czuł się niezależnym zupełnie i szczęśliwym. O tak! czuł się szczęśliwym w tym, jak go nazywał „folwarku" swoim, zagrzebanym na półtoratysiąca stóp pod ziemią, — a pomiędzy innemi dogodnościami jakie zapewniało mu to mieszkanie, należało i to zaliczyć, że niepotrzebował obawiać się, aby kiedykolwiek zawitali do niego „stentmaters", ajenci skarbowi wymierzający i ściągający podatek osobisty.

Bez względu na wiek swój, liczył już bowiem sześćdziesiąt pięć lat, Szymon Ford był jeszcze dzielnym mężczyzną i śmiało mógł uchodzić za prawdziwy typ „Sawney'a" *) i to w hrabstwie, dostarczającem najpiękniejszych mężczyzn do pułków Highlanderów.

Pochodził on z dawnej rodziny górników, sięgającej owych jeszcze czasów, w których po raz pierwszy przystąpiono do eksploatacyi pokładów węgla kamiennego w Szkocyi.

Nie zapuszczając się w głębokie badania, czy starożytnym Grekom i Rzymianom znanem było paliwo kopalne, albo też na ile wieków przed erą chrześciańską Chińczycy korzystali już ze swoich kopalni węgla, — można twierdzić na pewno, że pierwsza Wielka Brytania zaprowadziła u siebie systematyczną eksploatacyą. Już w XI wieku, Wilhelm Zdobywca dzielił się że swymi towarzyszami broni dochodami z pokładów w Newcastle; w XIII stuleciu Henryk III udzielił pierwszą licencyą na wydobywanie „węgla morskiego"; w końcu wreszcie tegoż stulecia napotykamy wzmiankę o pokładach węglowych w Szkocyi i księstwie Walii.

W owej to już epoce przodkowie Szymona Ford zstąpili w podziemne otchłanie Kaledonii, aby z ojca na syna, pozostać w nich na zawsze. Byli to prości robotnicy, ciężko pracujący nad wydobywaniem szacownego minerału. Przez długi czas istniało mniemanie, że górnicy w kopalniach węgla tak samo jak i zatrudnieni w salinach, są traktowani jak prawdziwi niewolnicy; i rzeczywiście, zdanie to tak rozpowszechnione było w Szkocyi, że w zeszłem stuleciu, podczas wojny Pretendenta, obawiano się aby dwadzieścia tysięcy górników z Newcastle nie chwyciło za broń dla odzyskania wolności, której, jak się zdawało, byli pozbawieni.

Jakkolwiekbądź Szymon Ford dumnym był, że należy do wielkiej rodziny górników szkockich, że własnemi rękoma pracować może w tem samem miejscu gdzie przez tyle wieków czynnemi były kilof i motyka jego przodków. W trzydziesty roku życia, został obermanem komory Dochart, największego szybu z całej kopalni Aberfoyle. Namiętnie zamiłowany w swoim zawodzie, przez kilkadziesiąt lat spełniał gorliwie powierzone mu obowiązki, a jedynem zmartwieniem jego była myśl, że pokłady węgla wyczerpują się i że zbliża się chwila, w której kopalnia zostanie zupełnie wypróżnioną.

Wtenczas to rzucił się z całym zapałem na wyszukiwanie nowych żył we wszystkich szybach kopalni, połączonych między sobą podziemnemi galeryami. W ostatnim nawet okresie eksploatacyi udało mu się odkryć kilka dość bogatych pokładów. Dopomagał mu w tem niezwykły zmysł górniczy długoletniem wyrobiony doświadczeniem; zdawało się, że jak hydroskop odgadujący istnienie źródła pod ziemią, tak on przeczuwał najmniejszą żyłę węgla ukrytą we wnętrzu kopalni.

Nadeszła przecież chwila, jak to już wspomnieliśmy, w której okazał się zupełny brak węgla w kopalni. Sondowania nie doprowadziły do żadnego pożądanego rezultatu, a raczej uwidoczniły tylko ostateczne wyczerpanie pokładów. Eksploatacyą przerwano — górnicy oddalili się.

I ktoby uwierzył? Większa część ich oddalała się pogrążona w rozpaczy — człowiek tak łatwo przywyka do trudu i oswaja się z nim!... Rozumie się, że Szymon Ford najbardziej z nich był zmartwiony; urodzony w kopalni, zżył się z nią, a po zaprzestaniu robót, postanowił zamieszkać w niej na zawsze, że zaś dostarczaniem potrzebnej dla nich żywności zajmował się Henryk, stary oberman, w ciągu tych dziesięciu lat najwyżej z dziesięć razy wydalał się na zewnątrz.

— Po co mam chodzić tam na górę — powtarzał często — alboż mi tu źle?

Już co prawda, to źle nie było: temperatura zawsze jednostajna, umiarkowana; ani upałów, ani mrozów, nigdy deszcz nie zapadał ni burza nie zahuczała — wszystko troje byli ciągle zdrowi — czegoż mu więcej było potrzeba?

Ale zewnętrzne to zadowolenie nie wystarczało dla poczciwego obermana. W głębi duszy gryzł się on nieustannie, dręczyła go panująca w okół cisza, tęsknił za przeszłością, za owym ruchem pełnym życia, a w strapieniu tem podtrzymywała go tylko jedyna myśl wyłączna, głębokie wewnętrzne przekonanie, które go ani na chwilę nieopuszczało:

— Nie, nie! — zwykł był twierdzić z całą pewnością — kopalnia nasza nie jest wyczerpaną.

I źleby się ten wybrał, ktoby wobecności Szymona Ford ośmielił się wątpić, że dawna Aberfoyle zmartwychpowstanie i odzyska dawne świetne swoje życie! Nie tracił on nigdy nadziei, że odkryje nową żyłę, która sprowadzi cud ten upragniony. O tak! z kilofem wręku, jak prosty górnik, gotów był, wrazie potrzeby, łamać i kruszyć skały, byleby tylko chociaż najmniejsze okazało się prawdopodobieństwo, że praca ta przyśpieszyć zdoła ziszczenie jego nadziei. Codziennie też, to sam, to w towarzystwie syna, zwiedzał ciemne galerye i chodniki, badał, szukał, śledził, i codziennie wracał do swego folwarku, znużony, bez rezultatu, ale nie wątpiąc, że jutro będzie szczęśliwszym.

Madge, zacna połowica Szymona, „dobra kobiecina", „good wife", że użyjemy przyjętego w Szkocyi wyrażenia, podzielała w zupełności przekonania swojego męża. Podobnie jak on tak i ona nie chciała opuścić kopalni. Tęż samę żywiła nadzieję, tak samo trapił ją każdy nowy zawód. Owszem, ona go zachęcała, dodawała mu odwagi do wytrwania w poszukiwaniach a w rzadkich chwilach, kiedy zniechęcenie ogarniało starego obermana, zwykła go była pocieszać temi słowy:

— Masz słuszność, Szymonie!... Aberfoyle śpi tylko. Nie upadaj na duchu... to nie śmierć kopalni, to sen chwilowy!...

Inżyniera oczekiwano z upragnieniem. Szymon Ford, stojący na progu mieszkania, skoro tylko ujrzał zdaleka lampę Henryka zwiastującą zbliżanie się gościa, podbiegł pospiesznie ku nadchodzącym.

— Witaj pan, panie James! — zawołał donośnym głosem, którego echo odbiło się o wysokie sklepienia. Witaj pan w domu starego obermana! Chociaż zagrzebani na półtora tysiąca stóp pod ziemią, nie wyrzekliśmy się przecież gościnności.

— Jak się masz, stary zuchu? — zapytał James Starr ściskając serdecznie dłoń swego gospodarza.

---

*) Dwa powyższe sonety Romanowskiego nie były dotychczas drukowane.

*) Jak John Bull oznacza Anglika a Paddy Irlandczyka tak Sawney jest pospolitą charakterystyczną nazwą Szkota.

— Doskonale, panie Starr. — Alboż to można tu chorować? tu, gdzie nie doświadczamy żadnych zmian powietrza? Piękne lady edymburgskie, spędzające lato w Newhaven albo w Porto-Bello *) lepiejby zrobiły przyjeżdżając na te kilka letnich miesięcy do kopalni Aberfoyle. Z pewnością nie byłyby tu narażone na przeziębienie się lub zakatarzenie jak tam wśród wilgotnych murów starej naszej stolicy.

— Pod tym względem niezawodnie sprzeczać się z tobą nie będę — odpowiedział z uśmiechem inżynier, zadowolony, że znalazł obermana takim samym jak dawniej. — Dziwię się nawet sam sobie, żem dotąd nie zamienił mojego domu na Canongate na jaki „folwarczek“ w waszem sąsiedztwie.

— Żartuj pan sobie, a przecież znam jednego z dawnych pańskich podwładnych, który byłby bardzo szczęśliwym mieszkając z panem tylko przez ścianę.

— A cóż Madge porabia? — przerwał mu inżynier.

— „Good wife“ lepiej jeszcze odemnie wygląda, jeżeli tylko jest to możliwem! — odpowiedział Szymon. — I pewny jestem, że radaby jak najprędzej ujrzeć pana za stołem; bo to prawdziwa rozkosz dla niej uczcić odpowiednio tak miłego gościa.

— Zaraz się o tem przekonamy, mój Szymonie, bo przyznam ci się, że jestem porządnie głodny. Podróż miałem szkaradną: całą drogę deszcz padał.

— Ah! to tam na górze deszcz pada! — rzekł Szymon z wyrazem pogardliwego szyderstwa.

— Nie pada, ale leje, powiadam ci, a Forth wzburzony jest jak morze.

— A widzisz pan! u nas tu nigdy deszcz nie pada. Ale co ja będę przed panem wychwalał nasze schronienie; nie gorzej pan je znasz odemnie. Najważniejsza rzecz, że jesteśmy już na folwarku; pozwól mi pan powitać się jeszcze raz na tem miejscu.

Wszyscy trzej weszli do obszernej sali, oświetlonej licznemi lampami, z których jedna zawieszoną była u sklepionego stropu.

W samym środku stał stół nakryty bielutkim obrusem, a cztery na nim nakrycia i tyleż w około stołu krzeseł, obitych skórą, oczekiwały tylko na biesiadników.

— Dzień dobry, Madge, — rzekł inżynier.

— Dzień dobry panu — odpowiedziała zacna Szkotka, podniosłszy się na powitanie gościa.

— Rad jestem, że zastaję was w dobrem zdrowiu.

— Wierzę chętnie panu, bo zawsze miło jest spotkać się z temi, których otaczamy naszą życzliwością.

— Żono — przerwał im Szymon — waza na stole, a zupa nie powinna stygnąć, tembardziej, że pan Starr głodny jest jak prawdziwy górnik. — Ale, prawda — dodał zwracając się do syna — przychodził tu do ciebie Jakób Ryan.

— Wiem o tem, ojcze. Spotkaliśmy go w szybie Yarow.

— Dobry to i poczciwy koleżka — ciągnął dalej oberman — tylko za bardzo mu się podobało tam na górze, w jego żyłach nie musi płynąć czysta krew górnika. — Ale siadajmy do stołu, panie James, trzeba nam dobrze podjeść, bo trudno przewidzieć jak prędko powrócimy na kolacyą.

*) Zakłady kąpielowe pod Edymburgiem.

Kiedy już mieli siadać, inżynier ujął za rękę gospodarza.

— Jeszcze chwilkę, Szymonie — rzekł. — Czy chcesz żebym jadł z dobrym apetytem?

— Byłoby to dla nas największą przyjemnością — odpowiedział Szymon.

— Otóż, aby zjeść z dobrym apetytem, trzeba nie mieć żadnego kłopotu na głowie. W tym celu więc chciałem ci zadać dwa pytania.

— Słucham pana.

— Napisałeś mi, że masz mi do udzielenia ważną wiadomość?

— Rzeczywiście, wiadomość to bardzo ważna.

— Dla ciebie?

— Zarówno dla pana jak i dla mnie, panie James. Udzielę ją jednak panu dopiero po obiedzie i to we właściwem miejscu. Inaczejbyś mi pan nie uwierzył.

— Popatrz na mnie Szymonie... prosto w oczy... ot, tak... Ważna wiadomość?... Dobrze... dość już! O więcej nie pytam — kończył po chwili inżynier, jakby rzeczywiście w oczach obermana odczytał pożądaną odpowiedź.

— A drugie pytanie, panie inżynierze?

— Nie domyślasz się też, Szymonie, kto to mógł do mnie pisać? — odpowiedział inżynier, podając mu list bezimienny.

Szymon wziął list i odczytał go z wielką uwagą.

Następnie pokazał go synowi.

— Czy znasz to pismo? zapytał.

— Nie znam wcale — odpowiedział Henryk.

— I ten list otrzymałeś pan także z Aberfoyle? — zwrócił się znowu z zapytaniem do inżyniera.

— Tak samo jak i wasz — odrzekł James Starr.

— Cóż ty myślisz o tem, Henryku? — zapytał cokolwiek zasępiony oberman.

— Mnie się zdaje, mój ojcze, że ktoś miał w tem własny swój interes, aby pan inżynier nie przybył na umówioną schadzkę.

— Ale kto to taki być może! — zawołał stary górnik. — Kto mógł odgadnąć najtajniejsze myśli moje?...

I pogrążył się w głębokie zadumanie, z którego wyrwał go niebawem głos żony:

— Siadajmy do stołu, panie James, bo zupa nam wystygnie, a list ten można i na później zostawić.

Na wezwanie to zasiedli wszyscy do stołu: inżynier, przez grzeczność, usiadł naprzeciw gospodyni, ojciec i syn zajęli pozostałe dwa miejsca.

Doskonały to był, prawdziwie szkocki obiad. Najprzód podano „hotchpotch“, zupę składającą się z wybornego bulionu wśród którego pływały kawałki mięsiwa. Zdaniem starego Szymona, żona jego nie miała w całej Szkocyi równej sobie artystki w przyrządzaniu hotchpotch'u.

Toż samo zresztą powtórzyło się i przy drugiej potrawie, zwanej „cockyleeky“ — rodzaj potrawki z kapłona z zawiesistym sosem, która ogólne zjednała sobie pochwały.

Wszystko to skrapiane było wybornem piwem, pochodzącem z najlepszego browaru edymburskiego.

Ale prawdziwem arcydziełem, koroną obiadu, był „haggis,“ budyń narodowy, przyrządzony z mięsa i mąki jęczmiennej. Znakomitą tę potrawę, na cześć której poeta Burns napisał jednę z najlepszych od swoich, spotkał zwykły los wszystkich piękności na tym świecie: znikła jak senne marzenie.

Madge, jako utalentowana artystka w sztuce kulinarnej, obsypaną została komplementami ze strony uprzejmego gościa.

Obiad zakończył się wetami, złożonemi ze sera, ciasteczek z owsianej mąki, zwanych „cakes“ i kilku kieliszków przepysznej żytniówki, „usquebaugh“, liczącej, tak samo jak Henryk, dwadzieścia pięć lat wieku

Podczas obiadu ciągnącego się przeszło godzinę, James Starr i Szymon Ford nietylko zajadali porządnie ale i rozmawiali ciągle z wielkiem zajęciem, głównie o przeszłości wspólnej ich przyjaciółki, kopalni Aberfoyle.

Co do Henryka, ten przez cały czas był zamyślony. Dwukrotnie wstawał nawet od stołu i wychodził na próg mieszkania; widocznie zaniepokoił go ów kamień rzucony w szybie Yarow, a list bezimienny wzmocnił jeszcze te obawy; czuwał może i badał czy nie zagraża im jakie niebezpieczeństwo.

Podczas chwilowej takiej nieobecności młodzieńca, przy stole zawiązała się rozmowa o nim:

— Dzielnego macie syna, moi przyjaciele — rzekł inżynier.

— O! tak jest, panie James — odparł żywo Szymon — poczciwy i tęgi chłopiec z naszego Henryka!

— I nie nudzi się tu z wami, w tem podziemiu? — w jego wieku, to rzecz trudna do uwierzenia! Nie tęskni do świata?

— Zapewniam pana, że ani przez myśl nie przejdzie mu nic podobnego.

— Spodziewam się jednak, że pomyślicie o ożenieniu go?

— Co? ożenić Henryka! — zawołał oberman. — I z kim? Może z jaką dziewczyną tam, na górze, któraby myślała tylko ciągle o zabawach, o tańcach i pogardzała naszą kopalnią? — Nie, nie, Henryk nigdyby się na to nie zgodził!

— Nie będziesz przecież żądał, Szymonie, — przerwała Madge — ażeby Henryk nie ożenił się nigdy.

— Tego nie żądam, ale dotąd nie ma nic pilnego. Kto wie co jeszcze zajść może?.....

W tej chwili Henryk powrócił i starzy zaczęli mówić o czem innem.

Na znak dany przez gospodynię podnieśli się wszyscy od stołu i zasiedli na ławce przed forwarkiem.

— Słucham cię teraz, Szymonie — przemówił inżynier.

— Nie w ten sposób, panie James — odpowiedział Szymon Ford — nie do ucha, ale do nóg pańskich muszę się odwołać. — Czyś pan już odpoczął po podróży?

— Nietylko odpocząłem — mój stary — ale i wzmocniłem się należycie i gotów jestem towarzyszyć ci wszędzie, gdziebądź zechcesz mnie zaprowadzić.

— Henryku — zwrócił się oberman do syna — zapal lampy bezpieczeństwa.

— Lampy bezpieczeństwa! — zawołał niezmiernie zdziwiony James Starr, wiedząc że w opuszczonej kopalni, pozbawionej zupełnie węgla, nie zagraża niebezpieczeństwo wybuchu gazów. — Ciekawym bardzo, po co bierzecie te lampy?

— Jedynie przez ostrożność, panie inżynierze.

— A może każesz mi także przywdziać jednocześnie i ubiór górnika?

— Jeszcze nie, kochany panie! nie teraz jeszcze! — odrzekł pospiesznie stary oberman, a oczy jego dziwnym jakimś zaświeciły blaskiem.

Henryk, który na rozkaz ojca, wszedł był do mieszkania, powrócił po kilku minutach, niosąc zapalone trzy lampy bezpieczeństwa.

Jednę z nich wręczył inżynierowi, drugą oddał ojcu, trzecią zaś przymocował u lewego swego ramienia; w prawej ręce trzymał długi drąg żelazny.

— A teraz w drogę! — zawołał Szymon, biorąc najmocniejszy kilof ze stosu narzędzi leżących przy drzwiach folwarku.

— W drogę! — powtórzył z zadowoleniem inżynier. — Do widzenia, Madge!

— Niech was Bóg prowadzi! — pożegnała ich poczciwa Szkotka.

— A pamiętaj żono o dobrej kolacyi! — zawołał jeszcze, odwracając się Szymon. Powrócimy dobrze wygłodzeni i nie poprzestaniemy na byle czem! (C. d. n.)

Wartość drzewa.

Słynny ekonomista dr. Rau wykazał, że cena drzewa w czwórnasób się zwiększyła od połowy 17go do połowy 18go wieku. Od r. 1740 do 1830 tenże sam postęp się zachował. Od 1830, wedle dowodów dostawionych przez uczonego statystyka dr. Engla, do 1874 r. a więc w 44 lat, cena znowu w czwórnasób droższą się stała, aniżeli w r. 1830. Liczebnie rzecz się dla zachodniej Europy następnie przedstawia:

1640 r.	ilość drzewa kosztująca		1	złr.
1740 r.	kosztowała	. .	4	„
1830 „	„	. .	16	„
1870 „	„	. .	24	„
1851 „	„	. .	33	„
1860 „	„	. .	44	„
1865 „	„	. .	103	„
1875 „	„	. .	115	„

W Szwecyi i Norwegii w r. 1840 kosztowała ilość drzewa 1 złr., w r. 1875 kosztuje 1·50 do 2 złr. W zaborze moskiewskim w r. 1866 kosztowała ilość drzewa 1 złr., w r. 1875 kosztuje 2 złr. W Ameryce w 1866 r. kosztowała ilość drzewa 1 złr., w r. 1875 kosztuje 2 złr. W Austryi i w Galicyi w 1874 roku kosztowała ilość drzewa 1 złr., w roku 1876 2 złr.

Ceny powyższe drzewa tyczą się towaru drzewnego; podczas gdy stojące drzewo w lesie od lat dwóch o wiele wyżej poszło. Do r. 1874 las dębowy przy kolei, lub przy spławie położony, sprzedawano zwykle po 150 do 200 złr. 1 morg. W r. 1874 dom Marpurgo i Parente kupił od p. Torosiewicza z Turki 1 morg po 375 złr. W r. 1877 dom francuzki kupił od księcia Lubomirskiego w Przemyskiem 1 morg po 750 złr. dębowego lasu.

Licząc po 8.000 stóp sześciennych przeciętną zawartość drzewa na 1 morg, wypada przy cenie dębiny 200 złr. za morg; 1 stopa sześcienna po $2^{1}/_{2}$, przy 375 złr. za 1 morg; po $4^{7}/_{10}$ przy 750 złr. za 1 morg; po $9^{1}/_{2}$ 1 stopa sześcienna. Tego samego materyału piłowanego kosztuje stopa sześcienna 60 do 70 ct.; w Niemczech 1 złr. 20 ct. do 2 złr.; we Francyi 2·50, 3 złr. i do 3·50.

Klepki i najwyborniejszy towar dębowy w 3 do 4 calowych balach, bez rdzenia, bielu, zgniłych sęków, i na tartaku wodnym lub parowym rznięte z ostro-rzniętemi kantami, osiągają wyższe jeszcze ceny.

Koszta rznięcia, z dostawą z lasu do tartaka, i z tartaka do kolei, w oddaleniu 4 mil do kolei, z kosztami amortyzacyi tartaka, administracyi, robotnika w lesie i przy piłach, smarowidła, opału, światła, asekuracyi i reperacyi, wynoszą co najwięcej 23 do 25 ct. tj. tyle co się zbierze z gałęzi i odpadków przynajmniej na każdą stopę rzniętego materyału. Z pnia przeto jest czystego zysku przy sprzedawaniu go jako piłowanego materyału, na każdej stopie sześciennej 60 do 70 ct. oddając na dworcu każdej krajowej kolei. Jeżeli przyjmiemy na 1 mor. 85 pniów wydających po 10 stóp sześciennych tartego materyału z pnia, długiego na 24 stóp, a objętości 40 cali, czyli grubości przeciętnej 12 cali, zyskamy z tartego materyału 552 złr. z 1 morga, a nadto drzewo które tylko jako opałowe sprzedać można, około 40 sążni po 4 złr., w lesie za 160 złr. Nadto jest jeszcze i kora dębowa do spieniężenia, która od maja do lipca zbierana 10 do 12 ct. z 1 morga wydaje, a w pieniężnej wartości przedstawia sumę 60 do 72 zł.

Oprócz wartości pniów, łatwych dziś do wydostania z ziemi za pomocą 3 łutowych dynamitowych nabojów, morg zwykłej dębiny przyniósłby przeto właścicielowi 772 złr. Jeżeli 1 morg dębiny, jasionów, klonów, brzostów nie powinien być sprzedawany niżej 770 do 800 złr., to i 1 morg sośniny, stojącego drzewa, nawet licząc ją o $50^{0}/_{0}$ niżej, nie powinien być taniej sprzedawanym jak po 450 do 500 złr. bacząc na to, że sośnina w przecięciu o $^{1}/_{8}$ wartości więcej na mordze drzewostanu liczy niż dębina. Smerekowe i jodłowe lasy, z tejże samej przyczyny chociaż o $^{1}/_{3}$ tańszy z nich materyał, mają na 1 morgu wartość pieniężną 400 do 450 złr.

Po tej samej cenie przynajmniej i bukowe lasy sprzedawać się powinny. Dotąd zaś można rzeczone trzy gatunki drzewa w Galicyi zakupić w dowolnej ilości płacąc po 40 złr. za 1 morg. Od czasu jak zamieszkuję tutejszą dzielnicę Polski, często zdarzyło mi się słyszeć pytanie właścicieli lasów bukowych, co z niemi robić?

Gdyby było czasopismo poświęcone li tylko interesom lasowej produkcyi u nas w kraju, a rozpowszechnione jak niem być powinno, w kraju tak w lasy bogatym; właściciele ich czerpaliby z niego wiele wskazówek, jak i co robić, ażeby często z martwego kapitału lub z kapitału ogromnej wartości, który przez nieświadomość za marny grosz oddają obcym, wielkie dla siebie wyciągnąć korzyści, a przytem i kraju nie ogałacać z lasów; przez to albowiem rujnuje się rolnictwo i chów bydła, przez to i zdrowie następujących pokoleń naraża się na osłabienie. W piśmie jednak niespecyalnem poprzestać muszę tylko na ogólnych uwagach i przykładach, które jednak jak sądzę nie będą bez interesu dla każdego myślącego czytelnika.

Za granicą użytek drzewa bukowego jest bardzo rozległy. Wyrabiają z niego: Dzwona do kół, rznięte klepki do beczek piwnych, szufle, miski do zboża, bloki 3 i 4 calowe do fabryk narzędzi rolniczych i do fabryk wagonów; wreszcie klocki do brukowania ulic.

Paryż wyczerpał łomy twardego kamienia, które były dostawicielami potrzebnego mu bruku z północnej Francyi; odrzucił następnie jako niepraktyczne drogie i niezdrowe dla ludności makadamizowane ulice; spróbował i zaniechał asfaltowania ulic, bo ciągłe reperacye i koszt w urządzeniu samem tego rodzaju drogi, są nieodpowiednie do jego trwałości. Następnie Paryż spróbował brukować ulice klockami z drzewa, już temu lat kilkanaście, lecz i ta próba nie wypadła zadawalniająco.

Bruki drewniane dawano w Paryżu ze sosnowego lub smerekowego drzewa. Czworograniaste klocki stawiano na deski łączone klamrami i zalewano smołą. Koszt wynikał ztąd ogromny, a przy konieczności reperowania rur od wodociągów i rur przeprowadzających gaz, bruk drewniany położony w sposób powyżej opisany utrudniał nadzwyczajnie rzeczone reperacye podziemnych rur.

Już i bruki drewniane zarzucić zupełnie chciano w Paryżu, gdy nowo wynaleziony sposób przyrządzania bukowych klocków do brukowania, zwrócił nagle wydział budowniczy miasta do drzewnego bruku.

Kostki bruku, chemicznie przysposobione jako drzewo kamienne, wchodzą w użycie; są niepalne, nieprzemokliwe, trwałe i niezużywające się przez długi czas, bezwonne, nie tworzące błota i kurzu; nadające się do pewnego i niewytężającego stąpania koni po nich, a w razie zdarzającego się upadnięcia konia, nie narażają go ani na wykopycenie, ani na złamanie nogi, jak to się zwykle na porfirowym, granitowym i asfaltowym bruku zdarza.

Klocki bukowe ustawiają się w piasek, jak zwykły kamienny bruk, i zasypują się piaskiem, lub zalewają rozczynem piasku i wapna hydraulicznego.

Robotnicy używają tych samych narzędzi przy brukowaniu klockami bukowemi, których przy brukowaniu kamieniami używali.

Bruk klockami wreszcie uniemożebnia hałaśliwy turkot wozów; oszczędza okucie koni i powozów. Klocki bukowe, w gorącej kamiennej smole gotowane, byłyby wedle mojego zdania odpowiednio do bruku przysposobione, i miasto Lwów, które tyle łoży na utrzymanie dobrych dróg w mieście, wieleby się przysłużyło krajowi, ażeby równocześnie i dla mieszkańców swoich, i dla licznych właścicieli lasów bukowych ten nowy rodzaj bruku wprowadziło.

Bolesław Prawdzic Chotomski.

O twórczości poetyckiej

przez

Juliana Ochorowicza.

(*Ciąg dalszy*).

Oprócz tych cudownych własności, fantazya posiada nadto ciekawszą jeszcze zdolność. Może ona do tego stopnia burmistrzować w świecie zjawisk, że:

6) *Zlewa zupełnie dwa różne wyobrażenia w jednę całość*, tak iż czytelnik w jednym obrazie odrazu dwa znajduje. Poeta bierze np. dwa tak różne wyobrażenia jak *twarzy ludzkiej i powierzchni morza* i zlewa je w ten sposób:

Tu szklanne morza cichego oblicze
Na falach drobnych, jak uśmiechu dołki,
Gór okolicznych odbija wierzchołki.

Albo nawet całą powiastkę w ten sposób prowadzi, że czytelnik nie wie czy myśleć o *kalinie* czy o *dziewczynie*, widząc, że „Kalina suknie majowe brała — i jak dziewczyna w gaju czekała,“ a potem, gdy Jasia w trumnę złożono, „biedna! żywe korale rzuciła w wodę“ i „z żalu straciła urodę!“

Ta zaś zdolność zlewania wyobrażeń różnych prowadzi do innej, jeszcze swobodniejszej, na mocy której fantazya poety

7) *Ożywia i osabnia ciała bezduszne.* Dla niej: „Czatyrdach stoi w turbanie z błyskawic,“ zatrzymując swem czołem „karawanę gwiazd“ ciągnących od wschodu; róża staje się „sułtanką słowików“

Jej brzmią pochwały kochankowie leśni,
Ona — rumieńcem dziękuje za pieśni —

A nawet martwy kamień staje się żywym i czującym —

Kamień nie czuje — ludzie powiedzą —
O! nie wierz ludziom dziewczyno!
Żyły kamienia iskrami płyną,
Choć ludzie o tem nie wiedzą.

Nareszcie fantazya posuwa swą swobodę plastyczną do ostatnich granic, dając ciało żywe, dotykalne, utworom abstrakcyi rozumowej — albowiem —

8) *Osabnia nawet pojęcia zjawisk umysłowych i ich stosunków.* Prawda, piękno, sprawiedliwość, wiara, życie, śmierć, stają się dla niej postaciami o przymiotach i kształtach ludzkich. Nic więc dziwnego, że pomyślała i o kształtach dotykalnych i o duszy ludzkiej dla najpiękniejszego swego kwiatu, którego owocem jest poezya — dla *natchnienia*. Słowacki nazywa je swą kochanką — Deotyma swoim kochankiem:

„Natchnienie w duszy człowieczej istnieje,
Lecz własnym bytem nie żyje“ — mówicie.
— Gdy czytam Biblią albo Odysseję
Czyż *oblubieńca* nie widzę w zachwycie?
. . . .
O dziwnież piękny ten mój oblubieniec!

*

Płaszcz jego szumny jak morskie bałwany
Tuli w swych fałdach cały świat nieznany,
Skroń mu się kwieci; — któż mu splatał wieniec?
Wszystkie narody i wszystkie stulecia!

Natchnienie zatem.... Ale oto właśnie doszliśmy do gordyjskiego węzła całej sprawy, którego rozcięcie lub rozplątanie wymaga kilku wstępnych wyjaśnień.

Przez długi czas utrzymywało się mniemanie, że twórczość poetycka jest darem wyższym, nieziemskim, a więc wyłamającym się z pod praw przyrodzonych natury ludzkiej i jej duchowego rozwoju. Według tego poglądu twórczość może być tylko odczuwaną, nie zaś pojmowaną; geniusz, jak mówił Libelt, da się tylko „podziwiać, ale nie ogarnąć.“ Pojmując rzecz w ten sposób, miano oczywiście na myśli nie ten niezaprzeczony wpływ wrażliwości i żywej pamięci, które się odziedzicza, nie ów wpływ poczucia estetycznego i psychologicznego, które w części przynajmniej nabyć można i nie ten wpływ zewnętrznych wrażeń, otoczenia, książek, przyrody i ludzi, który poecie dostarcza materyału dla fantazyi — tego wszystkiego nie miano na myśli, raz dla tego, że są to rzeczy zbyt proste i naturalne, a powtóre, i co więcej, że wcale się temi warunkami nie zajmowano, nie rozbierano ich tak jak się to dziś czyni, fizyologicznie i psychologicznie, poprostu nie uczuwano potrzeby badania takich drobiazgów - mówiło się, że twórczość jest dziełem geniuszu, geniusz zaś darem nieba — i na tem koniec.

Że jednak i w świecie ducha wszystko mieć musi swoję przyczynę, spytajmy: *dla czego tak było?*

Była i w tem przyczyna psychologiczna, a mianowicie następująca:

Do liczby warunków twórczości, któreśmy powyżej przebiegli, należy jeszcze jeden, dotychczas przez nas nieporuszony — warunek, w istocie bardzo eterycznej natury, i który mógł dać powód do wierzenia w nadnaturalność procesu twórczego. Jest nim: *natchnienie*.

Natchnienie, jak mówi Schiller jest niespodzianką dla duszy ludzkiej, „jest darem szczęścia, który spada z nieba.“ I oto dla czego całą twórczość poetycką, *jako dzieło natchnienia*, skojarzono z pojęciem owego ognia, który Prometeusz aż z nieba ściągać musiał na ziemię.

„Natchnienie — mówi Libelt — to wyraz wielkiego znaczenia, znajdujący się we wszystkich językach i we wszystkich świadczący znaczeniem swojem o bezpośrednim związku Boga z człowiekiem. Wyraz pochodzący z czasów, kiedy ludy ten związek czuć i pojmować umiały — ale w następnych wiekach panowania samowładnego rozumu, wyraz sponiewierany, i wyniesiony z dziedziny filozofii idealnej i materyalnej — zostawiony samym mistykom, i zaledwie poetom jeszcze przyznawany. Wyraz ten wróci do swojego pierwotnego znaczenia i odbuduje nową filozofią — filozofią twórczą — filozofią czynu “

Czy to pobożne życzenie naszego wielkiego estetyka spełni się — nie tu miejsce rozstrzygać — zwróćmy się raczej do określenia jakie natchnieniu nadaje:

„Natchnienie, mówi on trafnie, jest tym stanem nadzwyczajnym ducha w nas, co siłę twórczą fantazyi wywołuje i ogniem niebieskim rozpala.“

Jest to jednak omówienie tylko — a nam trzeba bliżej poznać jakie są zwyczajne składniki tego nadzwyczajnego stanu ducha, jego cechy i przyczyny.

W tym celu przypatrzmy mu się bliżej. Przedewszystkiem cechą natchnienia jest *mimowolność*, czyli niezależność od woli naszej. „Doszedłem do tego, mówi Goethe, że muszę właściwy mi talent poetycki jako dzieło natury uważać, a to tem więcej, że wszystko skłania mnie do pojmowania przyrody zewnętrznej, jako przedmiotu tamtej. Przejawianie się tego poetyckiego daru mogło być wprawdzie podbudzane i kierowane, ale najradośniej i najbogaciej objawiał się on mimowolnie, a nawet wbrew mojej woli.“ O poezyach w ogóle możnaby powiedzieć, że nie poeta je tworzy, ale one same tworzą się w duszy jego. „My tylko, mówi Göthe w innem miejscu, układamy stos drzewa i staramy się, ażeby było suche; a gdy przyjdzie odpowiednia pora ono samo się zapala, wprawiając nas w zdumienie.“

„Dziś — pisze Schiller — nie chciał mi się duch (natchnienia) pokazać, chociaż wychodziłem na jego spotkanie, napróżno przebiegając wszystkie szpalery mego ogrodu.“ A Forster dodaje: „Nie pierwszy to raz, wtedy właśnie, gdy wielcy artyści usilnie wszystkie swe siły naprężają, nie udaje im się wymuszone dzieło ich ducha. I zdobycze fantazyi są darem jednej boskiej chwili.“ Na pytanie czy idei szuka się, czy też tylko znajduje Gutzkow odpowiada: „Szukam wykonania, ale znajduję pobudki. Przy wykonaniu rozum pomagać musi. Znalezienie zależy od przypadkowego pobudzenia. Mógłbym ten stan porównać z patrzeniem w niebo, podczas pogodnej nocy, gdy nagle błysk odrywa się od sklepienia i zdaje się spadać. Dobre poezye są jak gwiazdy spadające*).

Drugą cechą natchnienia do pewnego stopnia z pierwszej wynikającą jest jego *ulotność*. Jako wyjątkowe podniecanie fantazyi, rzadko trwa ono dłużej nad chwil kilka, i znika podobnie jak przyszło, pod wpływem pierwszej lepszej pobudki. Goethe opowiada, że nieraz gdy w nocnych marzeniach ożywiła się jego fantazya, chwytał za ołówek i notował na kartce cisnące się wyrazy, a czynił to z takim pośpiechem, że jeśli kartkę znalazł leżącą ukośnie, to jej nie prostował, tylko pisał krzywo, ażeby żadnym ubocznym ruchem nie rozwiać ulotnych obłoczków fantazyi. Wyznaje również, że wolał pisać ołówkiem niż piórem, bo skrzypienie tego ostatniego było nieraz wystarczającem, ażeby rozerwać jego uwagę. W istocie, jeżeli przy każdej produkcyi umysłowej potrzebną jest zupełna swoboda i spokój, jeżeli wejście obojętnej osoby może nam odebrać ochotę do dalszego pisania — to o ileż więcej przeszkadzać muszą wszelkie uboczne wrażenia w takiej pracy, w której najlotniejsze pierwiastki fantazyi układają się w nowe, niespodziane kombinacye i gdzie od jednego trafnego wyrazu zależy nieraz udanie się kompozycyi. To też po większej części poeci żądają samotności i Goethe powiada, że bez niej nigdy nic nie mógł utworzyć. Najlepiej zaś tę ulotność natchnienia znają muzycy, którym trudniej zapamiętać motyw oryginalnie w danej chwili pomyślany, ponieważ brak mu tych wielostronnych ogniw asocyacyi w rytmie, treści i w rymach.

*) Porównaj: I. C. Fischer. Die Freiheit des menschlichen Willens Leipzig 1871, str. 117 i in.

Już z poprzedniego wynika że natchnienie *jest przeważnie zależnem od warunków zewnętrznych*. Z jednej strony przyzwyczajenie do tworzenia w pewnem otoczeniu — z drugiej siła sprzyjających wrażeń mogą i muszą warunkować twórczość poety. Eugeniusz Pelletan w swoim *Nowym Babilonie* przedstawia literata, który straciwszy dawne mieszkanie, zwykłe i ukochane miejsce pobytu, stracił zarazem natchnienie. I nie ma w tem nic dziwnego, umysł bowiem ażeby tworzyć potrzebuje całej swobody a taką daje tylko machinalne obycie się z otoczeniem. Nie jeden z poetów może pisać z prawdziwą przyjemnością tylko przy swoim stoliku, tylko w pewnym przez siebie samego wytworzonym nieładzie, który właśnie dla tego że jest przez niego samego wytworzonym, staje się dlań porządkiem. Gdy mu kto inny papiery ułoży, mniemane zawady usunie, czuje się skrępowanym, nie może do niczego trafić i doznaje w pracy dystrakcyi.

Jeżeli zaś zwykłe otoczenie tak dalece wpływ swój wywiera, to musi on być jeszcze widoczniejszym gdy w samem tem otoczeniu leżą pobudki i materyały poetyczne. *Lelia* pani George Sand oddycha gorączką paryzkiego życia, w epoce wzburzenia. *Mare au diable, François le Champi, la Petite Fadette* tchną spokojną powagą wiejskiego życia i cichych uroków Berry. *Spiridion* pisany był w klasztorze Valdemosa, w celi mniszej wśród zwalisk i wspaniałych widoków*). „Prace nasze mówi Michelet, przejmują się duchem miejscowości w których zostały dokonane. Natura pracuje w nas. Należy więc oddać cześć temu tajemniczemu pomocnikowi, podziękować *geniuszowi miejsca*.“ A Renan w swoim wstępie do *Życia Jezusa* tak się wyraża: „Uderzająca zgodność pomiędzy tekstami a miejscowściami w których powstały, cudowna harmonia ideału ewangelicznego z krajobrazem służącym jej za tło, były dla mnie jak gdyby objawieniem**).

(C. d. n.)

Listy z Anglii.

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

III.

Londyn w czerwcu 1877.

Ostatnie dni 15, zawierające w sobie karnawał angielskiego sportu, błogosławione rzadką na Anglią pogodą, należą do najmilszych, jakowe kiedykolwiek przeżyłem na tej wyspie, chociaż nie pierwszy raz błądzę jako kropelka, pośród gwarnego, kipiącego kotła, zwanego Londynem. Parlament używał wakacyi, ze Wschodu przybywały tylko monotonne depesze o potyczkach zakończonych bohaterską śmiercią tradycyjnego kozaka, pan Gladstone wyniósł się na prowincyą ze swoją agitacyą, chwaląc ludzkość i popierając widoki białego cara, bezwzględnie na przestarzałe przesądy angielskie — słowem nic nie psuło tej ciszy, która pozwala poświęcić umysł wyłącznie istmijskim igrzykom na Epsom, pod Londynem, znanym światu jako *Derby, Oaks* i t. d. Wiecie zaś, iż nietylko oczy ale i umysły tubylców pracują przy tej okazyi, ostatnie mianowicie, i to długo przed wyścigami. Każdy z nas zakłada stę na Derby, chociażby o szyllingi tylko z przyjaciółmi, o rękawiczki z przyjaciółkami. Ułożenie swoich zakładów w ten sposób, żeby w razie wygranej wygrać jak najwięcej, w razie przegranej okupić się jak najtaniej... owo „zrobienie książki“ jak je nazywają Anglicy, stało się nauką, kunsztem, rzeczą wymagającą skupienia umysłu i ciszy, niezbędnych buhalterowi, co układa świe-

*) E. Deschanel. Physiologie des écrivains et des artistes. Paris 1864 str. 175.

**) Tamże.

tny bilans korzyści, chociaż jego chlebodawcy bankrutują. Londyńczycy byli też wdzięczni Eolowi, że zaparł swoje wschodnie wichry na parę tygodni, Gladstonowi, że wyniósł się do Birminghamu.

Bożek pogody dotychczas nam sprzyja... rzecz niesłychana, przez tak długi przeciąg. Zadziwi was może, że wprowadzam wzmianki o pogodzie w moje listy. To im jednak dodaje barwy miejscowej. Wszak nigdy jeszcze nie zeszła się para Anglików, chociażby kochanek z kochanką, chociażby po raz dziesiąty w tymże dniu, aby nie zacząć rozmowy solenną uwagą, że słońce świeci, albo na deszcz się zbiera, żeby nie wtrącać w przerwach pomiędzy innemi tematami spostrzeżeń z dziedziny meteorologii. A kto nie zna przyczyny tego zwyczaju, niechaj pomieszka w Anglii. Nie gańcież mnie więc, gdy piszę, iż już 3 dni deszcz nie padał.

Pan Gladstone, mniej łaskawy od wschodnich wiatrów i ulewy powrócił, wprost z Birminghamu, stolicy radykalizmu angielskiego, gdzie zgromadziwszy 30.000 wielbicieli, nakształt nowego Piotra pustelnika nawoływał do krucyaty przeciw pół księżycowi. Tam on wyraźnie zaliczył się do „partyi ruchu,“ wyłamującego się otwarciej niż kiedykolwiek z pod władzy parlamentalnego, tradycyjnego stronnictwa liberalnego. Pozornie, dla odległych widzów, przejażdżki i wybryki tego męża stanu nie mają doniosłości. W istocie mają one wielką doniosłość, gdyż najgenialniejszy Anglik zrywa z liberalami, którzy głosują i wybierają posłów, lecz zwraca się do owych nie głosujących milionów, do massy, co chociaż nie posiada przedstawicieli w parlamencie, lecz z którą parlament musi się liczyć. Koniec końcem, ona tworzy większość narodu, a wielki doktryner wpił się w jej serca i miota tem morzem ludzkiem. Gladstone mówi i działa na seryo nawet broniąc mrzonki, krzywdząc ojczyznę. On jest zawsze szczery, strasznie szczery, zawsze namiętny, zawsze postępuje wedle przekonania, a ludzi tego rodzaju przeznaczyła przyroda na trybunów gminu. Kto wie, jak dalece wpływ gladstonowskiej agitacyi przyczynił się do fatalnego wahania, które przebija się w każdym kroku partyi u steru, pomimo jej zwycięztwa i potęgi w parlamencie? Wszak nawet samodzierżcy muszą się liczyć z szarfami utkanemi srebrem, cóż dopiero rząd parlamentarny z potęgą bez głosu, zatronową, lecz niezmierną i wierzącą w człowieka, który działa zawsze na seryo, czy chwaląc liberalizm rossyjski, czy agitując przeciw przymusowemu szczepieniu ospy, jako uszczupleniu władzy rodzicielskiej na rzecz państwa, czy krusząc kopie ze znawcami ceramiki, o wiek glinianego garnka? Jestto w każdym razie człowiek nadzwyczajny, atleta wszechstronny, zkąd też dziwi mnie, iż dał za wygraną hr. Platerowi, który jak wiadomo wam napisał do niego list otwarty, powtórzony we wszystkich gazetach angielskich. Nasz weteran i patryota zwraca w nim uwagę p. Gladstone'a na nielogiczność jego potępienia jednego barbarzyńcy, a chwalenia innego, niemniej okrutnego. Angielski doktryner nie odpowiedział na tę odezwę.

List ów, dziwnym zbiegiem okoliczności, zjawił się w tymże dniu w pismach angielskich, co i opis mniemanego męczeństwa Krysińskiego, któremu ministeryalne gazety poświęciły nawet wstępne artykuły, przedstawiając tę sprawę jako najczarniejsze wiarołomstwo w nowożytnej historyi. Nawet gladstonowskie organa nie mogły zataić tego ohydnego zdarzenia, lecz — przypatrzcie się logice tych ludzi — ludowe *Echo* dodało, że zawiklany kodeks usprawiedliwia bezwątpienia postępowania władzy, że było ono zgodne z literą praw rossyjskich. O, potęgo ludzkiego fanatyzmu!

Fanatyzm podobny objawia się w Ameryce, zkąd pani Pychowska (córka nieodżałowanej pani Walker Cook, tudzież osoba zajmująca poważne stanowisko w piśmiennictwie tamtejszem) donosi, że cała prasa rządowa sympatyzuje bezwzględnie z Rossyą i uderza ostro na wszystkich, co wszczęli tam agitacyą na mocy raportów konsula Mansfielda. Logika tego postępowania polega na tem, że prasa ta walczy z ultramontanizmem, który jak upiór czarny wpija się w życie amerykańskie i zatruwa krew zdrowego dotąd narodu. Więc roznamiętniwszy się tą walką, postępowcy tamtejsi życzą zwycięztwa wszystkim nieprzyjaciołom Rzymu. Stara to historya — fanatyzm jezuitów w Ameryce i Anglii wywołał reakcyą fanatyczną w skrajnych obozach, ta zaślepia swoje ofiary na wszelkie uboczne względy, i pozwala Gladstone'om malować gwałt i zabór w formie liberalnej krucyaty.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(Broszury polityczne)

(Dokończenie).

Równocześnie wyszła w Poznaniu broszura p. W. S. pod napisem *Niepoprawni*, w tendencyi najzupełniej zgodna z poprzednią, w tonie zaś bardzo nieumiarkowana, i pełna wstrętnych wycieczek przeciw powstaniu z r. 1863 i przeciw polskiemu wychodźtwu. Ten głos, jak również kilkakrotne tym samym duchem natchnione i tak samo nieumiarkowane odezwania się krakowskiego *Czasu* wywołały odpowiedź w toruńskiej broszurze *Co robić?* Jest ona w znacznej części polemiczna, napisana z życiem i talentem. Surowo smaga kierunek stańczykowski i całą jego zbyt już liczną parentelę. Występuje przeciw tym, którzy odmawiają patryotycznym jednostkom prawa inicyatywy w rzeczach narodowych, i odwoływać się każą do legalnych władz i reprezentacyj. W perjodycznych powstaniach naszych uznaje słusznie konieczne następstwo ucisku, twierdząc, że rewolucya nie „robi się“ ale „jest zawsze wynikiem konieczności.“ Nie sprzeciwiając się w zasadzie tworzeniu legionów nie może jednak przywiązywać do nich zbyt wielkich dla sprawy naszej nadziei, i doradza zająć wobec nich stanowisko wyczekujące. Doradza zaś, ażeby przez wszelkie organa, przez prasę, sfery parlamentarne i stowarzyszenia polityczne, poruszać sprawę polską jak najszerzej, za pomocą artykułów, broszur, memoryałów, adresów, dzieł, zgromadzeń publicznych itp. — zdzierać maskę z polityki caratu, i — czekać.

Prawie równocześnie z powyższą pojawiła się we Lwowie broszura *Na dzisiaj*, a objaw to charakterystyczny i pocieszający, że równocześnie i ze Lwowa i z Torunia odezwały się głosy, z a s a d n i c z o zupełnie zgodne. Autor broszury *Na dzisiaj* przedstawia trzy możliwe drogi: 1) samodzielny ruch zbrojny bez oparcia o zewnętrzne sojusze, 2) oparcie sprawy polskiej o samą tylko Turcyą, 3) połączenie jej tylko wtedy, jeżeli oprócz Turcyi znajdziemy w innych mocarstwach punkt oparcia. Zastanawiając się nad każdą z tych dróg, przychodzi autor do przekonania, że tylko trzecią na dzisiaj obrać można, i bliżej ją w ten sposób określa, iż skuteczne podjęcie sprawy polskiej w toku bieżących wypadków, tylko po dojściu do skutku sojuszu angielsko-austryacko-tureckiego byłoby możliwem. Zasadniczo autor nic nie ma przeciw legionowi, zgodnie jednak z broszurą *Co robić?* nie przywiązuje doń wielkich dla sprawy polskiej nadziei. I w tem też oba te głosy się godzą, iż żądają poruszania sprawy naszej wszelkiemi rozporządzalnemi środkami. Lecz autor broszury *Na dzisiaj*, piszący wśród galicyjskiego zamętu i rozbicia, na pierwszym planie stawia z s z e r e g o w a n i e się, skupienie w sobie, jako niezbędny warunek jakiejkolwiek skutecznej akcyi.

Taka jest treść najnowszej naszej broszurowej literatury. Widzimy w niej reprezentowane prawie wszystkie dążenia, jakie się w kraju z powodu wypadków wschodnich obudziły. Dowodzą też one żywego zajęcia się wypadkami temi, a życzyćby należało, ażeby przyczyniły się do rozbudzenia takiego zajęcia nie tylko między publicystami, ale też i w całym ogóle polskim.

T. R.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XXI.

Jeżeli obecnie jeden tydzień z życia naszego miasteczka różni się czem od drugiego, to chyba coraz to wyższym zastojem przemysłowym i handlowym. Ruch księgarski zszedł do minimum, papiery bankowe spadły, teatr wyjechał, festyny są na wyczerpaniu — jednem słowem głucho i pusto na mieście tak jak głucho i pusto w kieszeniach jego mieszkańców. Żeby choć Moskale raz Dunaj przeszli! Żeby ich choć raz porządnie przetrzepano — ale Dunaj opada sobie tak melancholicznie jakby go to nic nie obchodziło, że my tu wyczekujemy telegramów, jak zbawienia, a najwyższa rada turecka tak flegmatycznie obsadza skały Abchazyi, jak nieprzymierzając rada szkolna posady nauczycielskie w szkołach „wzorowych.“ Jedyne ożywienie umysłów wywołały chyba tylko ostatnie aresztowania socyalistyczne, które w organizacyach wrażliwszych obudziły przedsmak komuny paryskiej; gdzie się ruszysz wszędzie słychać rozprawy o zasadach socyalnych przyczem oczywiście liczba socyologów narodowych rośnie z dniem każdy. Nie wpływa to wprawdzie na większy pokup książek poważnych, treści społecznej — ale ktoby tam zaglądał do książek w takich gorących czasach!

* * *

W związku z artykułem naszym „Głodne Apostolstwo“ zamieszczonym w 38 *Tygodnia*, *Dziennik Polski* pisze co następuje:

„Ważna sprawa szkolna, cały sprawami publicznemi zajmujący się ogół żywo obchodząca, ma być przedmiotem obrad na tajnem posiedzeniu rady miejskiej. Sprawa ta dotyczy dwóch szkół niegdyś „wzorowych“ umieszczonych w ratuszu i w domu Lewakowskich w Rynku. Od lat kilku napierały władze szkolne na miasto, aby gmina stosownie do ustawy szkolnej wzięła te dwie szkoły ludowe na fundusz miejski. Po dłuższych rokowaniach między miastem a radą szkolną krajową przyszedł układ do skutku, a między warunkami przez miasto postawionemi był i ten, że na wszystkie posady nauczycielskie w tych dwu szkołach, rozpisany zostanie konkurs. Warunkowi temu stało się zadość, konkurs rozpisano i rada miejska we wrześniu czy październiku roku zeszłego, poświęciwszy kilka posiedzeń sprawie obsadzenia posad nauczycieli, załatwiła sprawę, zamianowała nauczycieli i dyrektorów, a razem dała wybranym przez siebie kandydatom „prezentę“ i odesłała akta władzom szkolnym. Pół roku minęło od tego czasu, rada szkolna pomimo licznych urgensów milczała, aż dopiero temi dniami odesłała wszystkie akta magistratowi, oświadczając, że póki rekurs jednego ze spadłych z etatu nauczycieli przez ministra oświecenia rozstrzygniętym nie będzie cała sprawa reorganizacyi tych dwu szkół w zawieszeniu pozostać musi. Rada szkolna odsyła akta dla tego, że mniema, iż miasto dla zapobieżenia zwłoce owym rekursem spowodowanej, zechce przeprosić się z owym rekurującym dyrektorem, zmieni swoję zeszłoroczną uchwałę i da mu upragnioną przez niego i pana ministra prezentę! Nie chcemy się rozpisywać nad tą wstrętną sprawą, świadczącą, że u władz szkolnych najwyższych więcej znaczy interes prywatny jednego malkontenta posiadającego względy ministeryalne, niż interes oświaty, szkolnictwa, licznego grona czekających na nominacyą prezentowanych przez miasto nauczycieli i wreszcie kilkuset uczniów, dla dobra których mają być owe szkoły reorganizowane i nowemi siłami obsadzone; zapytujemy się tylko dla czego taką sprawą ma się reprezentacya na t a j n e m posiedzeniu zajmować? czy dla tego, że podczas rozpraw może być niemile dotkniętą osoba lub władza jaka?“

* * *

Jeden z naszych korespondentów zapytuje nas: kogo mianowicie chce oszukiwać Towarzystwo święcenia niedzieli, Pana Boga czy ludzi?— bo najgorliwsi jego członkowie zamykając sklepy od frontu, otwierają je z tyłu. Co do nas nie dziwimy się temu wcale, bo jak w każdej jezuickiej propagandzie tak i tutaj, chodzi tylko o formy. Można być bezbożnym od strony podwórza byle tylko być pobożnym od frontu.

* * *

W uniwersytecie lwowskim odbyły się w piątek wybory na rektora, przyczem większość głosów otrzymał profesor filologii klasycznej dr. Zygmunt Węclewski b. dziekan wydziału filozoficznego a poprzednio profesor b. szkoły głównej warszawskiej. O rezultacie wyboru dziekanów podamy wiadomość w przyszłym numerze.

* * *

Po długiej ciszy na polu publicznego życia naszego miasta ma się zawiązać postępowy klub polityczny. Wiadomość tę przyjmujemy z radością, bo oddawna czuć się daje potrzeba jawnej dyskusyi w sprawach ogół obchodzących.

* * *

Panna Deryng artystka teatrów warszawskich, występująca obecnie w Krakowie, ma podobno wkrótce przybyć do Lwowa.

Wojna na morzu.

(*Ciąg dalszy*).

Wobec tych faktów, jak już wspominaliśmy, cała taktyka morska ma być zmienioną, i zmianę tę widać już powszechnie. Wysilano się poprzednio na budowanie olbrzymich, ciężkich okrętów, opancerzonych potężnemi ścianami, o wielkiej ilości armat. Dziś środki niszczenia tych okrętów rozwinęły się do tego stopnia, że jedna dobrze skierowana torpeda, jeden celny wystrzał może pochłonąć miliony. Mieliśmy już tego przykład na potężnej korwecie pancernej tureckiej „Lutfi Dželil“ (Radość świata) wysadzonej jedną dobrze wymierzoną bombą w powietrze. Cztery miliony franków i paręset ludzi pochłonął Dunaj błękitny. Bomba rosyjska przebiła okręt, spowodowała eksplozyą kotła parowego i wybuch prochowni. Z okrętu i ludzi same prawie zostały szczątki.

Starają się więc teraz przedewszystkiem o małe, zwinne, szybkie statki, zaopatrzone w jednę silną armatę, które mogą w wielkiej ilości napadać na wielkie monitory, iść w tyralierkę, ścisnąć nieprzyjaciela ze stron wszystkich, otoczyć go obręczą z ognia i żelaza, dopędzić go w najszybszym biegu, celnym strzałem w najsłabsze miejsce zanurzyć go na dno lub wysadzić w powietrze dobrze skierowaną torpedą. W ostatnich paru latach marynarki zaczęły zaprowadzać u siebie całe floty małych statków tak zwanych „torpedowych“, których zadaniem jest zbliżać się do okrętu nieprzyjacielskiego i w jakikolwiek sposób z bliskości uderzyć o jego ścianę pociskiem wybuchającym. Proponowano tu najrozmaitsze systemy; według jednego, mała łódź ma za sobą ciągnąć w dali na długiej linie torpedę, i tak sobą kierować żeby się ona zaczepiła o okręt i wybuchła. Inne znowu, a takich jest najwięcej i wprowadzają się one teraz powszechnie, niosą na swym pokładzie torpedę i zbliżywszy się nieznacznie w ciemności lub we mgle do nieprzyjaciela, wyrzucają ją na długim drągu i uderzając o ściany okrętu, sprowadzają katastrofę. Naturalnie że w tym wypadku i łódź słaba jest narażona na skutki wybuchu i trzeba niezmiernej odwagi do obsługi tego rodzaju łodzi torpedowej.

Statki torpedowe można podzielić na dwie grupy, za przedstawicieli których można uważać statki amerykańskie i statki francuzkie. Pierwsze są większe, zaopatrzone w armatę, opancerzone dobrze i do boju zdatne; drugie są małe, lekkie, zwinne, prawie bezbronne; zadaniem ich jest podejść nieprzyjaciela podstępem.

Przypatrzmy się trochę bliżej jednemu z najnowszych statków amerykańskich i jednemu z francuzkich.

Ameryka już od dość dawna nie zapatrywała się na Europę wysilającą się w budowaniu coraz grubszych ścian okrętowych, lecz zwróciła swą uwagę głównie na wydoskonalenie systemu torpedowego. Od kilku lat egzystuje w Newporcie wyborna i doskonale uorganizowana szkoła torpedowa (torpedo school), jeżeli ją tak nazwać można. Obecnie wybudowano tam kosztem rządu statek, który rzec można, jest najstraszniejszym i najpotężniejszym na morzu, nie wyłączając nawet monitorów włoskich zaopatrzonych w armaty, z których każda waży 100 ton, to jest około 200,000 funtów! W numerze 11 z roku bieżącego czasopisma „Scientific American“, znajdujemy wizerunek tego statku, wraz z opisem rzeczy o których wiedzieć wolno, podanym przez kapitana tego statku, Fryderyka Paina. Ztamtąd też czerpiemy i nasze sprawozdanie.

Statek ten zwiący się „Alarm“, przeznaczony jest do bitew prowadzonych według reguł, nie mających żadnego związku z obecną taktyką morską. Skoro „Alarm“, zoczy nieprzyjaciela, dajmy na to w nocy, pędzi wnet ku niemu z szybkością 15 węzłów. Zaledwie go widać, bo tylko na trzy stopy wystaje po nad wodę. Zbliżywszy się na niewielką odległość, na przedniej jego części zapala się potężne światło elektryczne, które oślepia nieprzyjaciela i nie dozwala mu w ciemności rozpoznać prawdziwych kształtów statku. Na samym przodzie okrętu stoi działo wielkiego kalibru wymierzone w kierunku biegu.

Zaraz po zapaleniu światła i rozpoznaniu szczegółów okrętu nieprzyjacielskiego, działo wysyła kulę w obrane miejsce wymierzoną. Czyni to z bardzo niewielkiej odległości. Pędząc dalej, wysuwa naprzód, na długim drągu torpedę i z nią jakby z dzidą uderza na okręt, Torpeda ta zanurzoną jest 13 stóp pod wodą *). Następuje wybuch wzburzający potężnie wodę, który odrzuca w tył „Alarm“. Statek nieprzyjacielski jeśli nie zrujnowany, to jest przynajmniej mocno uszkodzony. „Alarm“ zbiera na nowo swe siły i całą mocą pary pędzi ku okrętowi. Przód jego zakończony jest pod wodą taranem stalowym, który wbija się z całą siłą w połamany już torpedą bok okrętu.

Następuje wtedy w walce dalsza faza. „Alarm“ obraca się szybko około swej osi pionowej i staje równolegle do statku nieprzyjacielskiego. Z jego boku wysuwa się drąg nowy z torpedą i następuje nowy wybuch, a tymczasem kartaczownice umieszczone na tylnym końcu, zmiatają pokład nieprzyjacielski.

*) Pancerniki są tylko w górnej części mocno opancerzone. U dołu pancerze się nie kładą, bo woda od kul zabezpiecza.

Trudno byłoby złączyć więcej zalet w jednym niewielkim statku, długim wszystkiego na stóp 172.

„Alarm“ cały jest żelazny i zbudowany według angielskiego systemu pancerników. Po za pierwszą żelazną łupiną statku jest druga, tak że okręt ma dwie ściany rozłączone wolną przestrzenią. Obie ściany połączone są ze sobą za pomocą silnych bardzo konsoli i wiązań. Wolna przestrzeń między niemi podzielona jest poprzecznemi ścianami, ma osobne małe komórki szczelnie zamknięte, tak że gdy kula nieprzyjacielska przebije zewnętrzną ścianę, to woda nie napełni całej wolnej przestrzeni między obu łupinami, lecz tylko tę jednę komórkę. Zresztą i całe wnętrze okrętu podzielone jest na osobne hermetycznie zamykające się kompartymenty w ten sposób, że gdy nawet kula przebije obie ściany, to woda zalać tylko może jeden taki kompartyment i okręt nie utonie, lecz tylko trochę się głębiej zanurzy.

Ponieważ tego rodzaju statkowi chodzi przedewszystkiem o nadzwyczaj szybkie ruchy, więc też machiny poruszające zbudowano w sposób najstaranniejszy. „Alarm“ nie posiada steru, natomiast zaopatrzony jest w koło Fowlera, które jest podobne do zwyklego koła łopatkowego na parostatkach, lecz zamiast pionowo, stoi poziomo w końcu statku. Nie możemy się wdawać bez rysunku, w szczegółowe opisanie mechanizmu tego koła, powiemy więc tylko o jego działaniu. Otóż przy jego pomocy okręt z nadzwyczajną szybkością może poruszać się około osi pionowej i nastawić raz do nieprzyjaciela swój przód najlepiej broniony i zaopatrzony w działo i taran, to znów stanąć bokiem i wypuszczać ze ścian swych drągi z torpedami.

Wszelkiemi manewrami i bitwą kieruje komendant umieszczony w budce sterniczej, połączonej drutami elektrycznemi z sygnałami znajdującemi się przy armacie i przy torpedach. W tej budce na środku stoi koło, którem nadaje się okrętowi ruch dowolny. Gdy trzeba z działa wypalić, kapitan przyciska guzik odpowiedni. Koło armaty odzywa się głos dzwonka znaczący „przygotować się!“ Artylerzysta ze swej strony daje sygnał, że zrozumiał. Po drugim dzwonku następuje wystrzał. Następnie przyciśnięciem innego guzika, kapitan daje znać do kabiny torpedowej, że trzeba wysunąć na drągu torpedę. Drąg składający się z rury żelaznej, wysuwa się przez otwór szczelnie zamknięty, niosąc na swym końcu torpedę, od której idą druty elektryczne do domku sternika, do kapitana. Gdy przyjdzie chwila stosowna i torpeda jest już przy ściśnie okrętu nieprzyjacielskiego, kapitan naciska znowu odpowiedni guzik i następuje wybuch.

(Dok. nast.)

Tydzień Warszawski.

XII.

Dla młodzieży pracującej nastały teraz ciężkie czasy egzaminowe. Nie uwierzycie do jakiego stopnia Moskale posuwają system prześladowania legalnego, byle tylko osiągnąć swoje cele. Nie mówiąc już o zakazie, pilnie przestrzeganym, mówienia po polsku w szkołach, nie mówiąc już o kontroli nad stancyami

uczniowskiemi, przyczem nietyle chodzi o nadzór moralny ile o proste szpiegostwo policyjne, wymyślili nadto sposób rusyfikowania, z jednej strony przez obciążenie nauką tak ażeby odebrać możność i ochotę do wszelkiej innej pracy, któraby równoważyła antinarodowy wpływ szkoły, z drugiej, przez utrudnianie w udzielaniu patentów i zatrzymywanie tym sposobem doroślejszej młodzieży w gimnazyach. Obostrzenia dotyczące mianowicie języka rosyjskiego i historyi Rosyi są tak wielkie, że przeciętnie biorąc na 7-u uczniów zaledwie 1 dostaje patent a w niektórych gimnazyach procent jest jeszcze znacznie mniejszy. Że taki system nie wyda osobliwych owoców pod względem rozwinięcia umysłowego, to pewna, ale że bardzo się mylą Moskale sądząc, iż tym sposobem zjednają sobie młodzież, to jeszcze pewniejsza. Zrobili tylko to, że szkoła przestała być miejscem miłych wspomnień i że młodzieniec kończący gimnazyum nauczył się przedewszystkiem nienawiedzić swoich nauczycieli.

Jarmark wełniany, rozpoczęty 13 b. m. sprowadził do Warszawy ogorzałe postacie naszej szlachty która jak zwykle głośno narzeka na ciężkie czasy, ale tym razem przynajmniej lepiej się z niemi rachuje. Ostrygi u *Stępka* już nie tak obficie odchodzą jak lat zeszłych i humoryści nasi nie będą już mogli nadużywać porównania o baranach golonych w Warszawie po ostrzyżeniu ich na wsi. Jarmark wypadł lepiej niż się spodziewano, szczególnie też na cieńszą i dobrze mytą wełnę kupców mianowicie z Niemiec nie brakło.

I w kierunku poważniejszych zajęć szlachta nasza robi postępy. Wiadomo wam że jedno z lepszych pism tutejszych, *Niwa*, dawniej organ tak zwanej „młodej prasy", od roku zwróciło się ku ziemiaństwu naszemu, popierając głównie jego interesa i nadając racyonalny kierunek pracom gminnym. Usiłowania te wytrwale prowadzone nie pozostały bez skutku i dziś około *Niwy* skupiły się wszystkie lepsze siły naszej inteligencyj wiejskiej, które uznając *Niwę* za swój organ postanowiły podnieść to pismo przez wypuszczenie go na akcye. Akcye te znajdują chętny pokup i zdaje się iż uczciwa praca obecnej redakcyi, (głównym kierownikiem pozostanie i nadal p. Mścisław Godlewski) coraz bujniejsze zbierać będzie owoce. Życzylibyśmy tylko ażeby *Niwa* nie zapominała o dawnym szym sztandarze postępowym, w obec popierających ją konserwatywnych żywiołów naszego ziemiaństwa.

Aresztowania, o których i do was zapewne doszły pogłoski nie dotyczyły naszej sprawy, lecz moskiewskich agitacyi socyalistycznych. Komitet kijowski przysyłał tu już dawniej swoich ajentów, ale bezskutecznie. Natomiast zagrażają nam samowolne wybryki chłopów mianowicie w zachodniej części królestwa. Moskale sami rozpuszczali wieści między ludem, że car im wszystko daruje, teraz więc kiedy układy graniczne i o tak zwane *serwituty* ciągle jeszcze trwają, chłop niechce się zgodzić nawet na wszelkie możliwe ustępstwa dworu i w kilku miejscach, jak się właśnie dowiaduję, chłopi niepozwolili geometrom mierzyć gruntów utrzymując że to wszystko do nich należy. Wda się w to straż ziemska, ale naturalnie, jak zwykle wszystko się skrupi na właścicielu większej posiadłości, ponieważ rząd ciągle jeszcze chłopom się przymila. Nowo nakazana branka ochłodzi zapewne te czułości. — Wieść o życzliwem odezwaniu się papieża o nas doszła już do ludu i wywiera jak najlepszy skutek, nie jeden też radby się dorwać do legionu, gdyby nie to, że Turcy daleko a straż ziemska na karku.

Z Petersburga ciągle dochodzą wieści o aresztowaniach socyalistów.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Nakładem pp. A. Vogla i K. Wolskiego zaczęła wychodzić we Lwowie „Biblioteka powieści kryminalnych." Zeszyt 1szy zawiera opowiadanie Temmego pt. „Sąd boży."

— Nakładem pp. Gotlieba i Fraenkla zaczął wychodzić we Lwowie nowy tygodnik ekonomiczny, handlowy i społeczny pt. „Ekonomista." „Będzie on, jak pisze redakcya, badaczem gospodarskich kraju naszego stosunków, środkiem poznania ciężkiej ekonomicznej choroby kraju, ogniskiem dla ludzi wiedzy, pracy i dobrej woli na polu ekonomiczno-społecznem. Jego hasłem będzie dobrobyt kraju, bo bez dobrobytu nie ma postępu, bez podwaliny materyalnej najświętsze przedsięwzięcia ducha ludzkiego i narodowego spełzną na niczem. Z tygodnikiem „Ekonomista" połączone będzie sprawozdanie targowe i giełdowe lwowskiej izby kupieckiej, tudzież wykaz ciągnienia wszelkich losów, obligacyj, akcyj, listów hipotecznych austryacko-węgierskich i zagranicznych. Podczas odbyć się mającej we Lwowie we wrześniu 1877 r. krajowej wystawy rolniczej i przemysłowej osobne fachowe sprawozdanie z tejże w tygodniku naszym będzie umieszczone. Współpracownictwo przyrzekli między innymi zaszczytnie znani na polu umiejętności ekonomicznych pp.: dr. Leon Biliński, prof. wszechnicy; dr. Rudolf Günsberg, prof. Akademii technicznej; Otton Hausner, poseł na sejm krajowy i Teofil Merunowicz. „Pierwszy numer zawiera następujące prace: Słowo wstępne. Dział ekonomiczny: Galicya rolnicza wobec nowego statutu banku państwowego; O potrzebie założenia centralnych magazynów publicznych we Lwowie. Gospodarstwo: Z lwowskiego towarzystwa gospodarczego; Sprawozdanie c. k. ministerstwa rolnictwa; Wniosek o zmianie ustawy o opodatkowaniu spirytusu. Dział handlowy: Ruch handlowy. Handel zbożowy; Sprawozdanie lwowskiej Izby kupieckiej; Zamiejscowe kursa handlowe; Telegramy zbożowe; Międzynarodowy targ zbożowy we Wiedniu. Sprawy kolejowe: Obliczenie ażya od cen jazdy i frachtów na kolejach austr.-węgierskich. Dział finansowy: Ciągnienia; Skorowidz dywidend towarzystw kolejowych i zakładów bankowych; Kalendarz finansowy; Repertoar walnych zgromadzeń w miesiącu czerwcu r. b. odbyć się mających. Ruch finansowy: Ostatnie kursa telegraficzne; i w odcinku artykuł pt. Żywienie zachodniej Europy wobec wojny wschodniej.

— Nakładem księgarni Żupańskiego wyszedł w Poznaniu trzeci tom dzieł dramatycznych Szekspira w przekładzie Stanisława Koźmiana, zawierający Henryka IV. Taż sama firma wydała także świeżo dziełko zajmujące ze względu na obecną wojnę pt. „Wspomnienia Kaukazu" przez H. Jaworskiego. Część I. Rys historyczny.

— Przez kilka dni bawił w naszem mieście w powrocie z artystycznej wycieczki do Włoch znany powieściopisarz p. Jan Zacharjasiewicz.

— Dyrekcya teatru lwowskiego odmówiła urlopu pani Adolfinie Zimajer, wskutek czego artystka ta nie wystąpi w bieżącym miesiącu w Warszawie.

— Sześć polskich artystek, z różnych stron świata, przyjęło udział w tegorocznej wystawie sztuk pięknych w Paryżu obok wielu artystów polskich. Prace tych artystek, jak zapewnia korespondent G. W., w niczem nie ustępują dziełom francuskim. Panna Feliksa Amplewska z Warszawy dała prześliczną miniaturę; portret panny Vrignault. Panna Brycka, urodzona i wychowana w Paryżu, wprawnie maluje na porcelanie. Dwie prace tej zdolnej artystki znajdują się na tegorocznej wystawie, wykonane podług pierwowzoru Bertrand'a. Panna Marya Płużańska, rodem z Kadyksu, także słynie jako malarka na porcelanie. W tym r. nadesłała „Pierwszy krok," podług obrazu Vély'ego. Panny Krystyny Prusinowskiej z Żytomierza mamy kwiaty i głowę murzyna, malowane na fajansie. Pani Helena Przepiórkowska, której mąż zaszczytnie figuruje w dziale portretów, wystawiła akwarelę. Nareszcze panna Edma Stryjeńska, urodzona w Szwajcaryi, wystąpiła z piękną emalią; „Trzej królowie," podług Bernardina Luini'ego.

Towarzystwa naukowe.

— Na posiedzeniu wydziału historycznego Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbytem d. 4 czerwca r. b., p. Bentkowski zdawał sprawę z pamiętników Wierzbickiego powierzonych do przejrzenia i ocenienia komisyi do składu której i referujący należy. Dalej przewodniczący p. St. Koźmian zakomunikował wydziałowi, że Dr. Kętrzyński nadesłał do przyszłego rocznika Tow. rozprawę swą pt. „Rodowód Bażeńskich" (Baizenów), żądając dla ocenienia jej wybrano komisyi. Zgodnie z powyższym wnioskiem wybrano komisyą składającą się z pp. St. Koźmiana, St. Feldmanowskiego i Ign. Zakrzewskiego. Wreszcie poruszoną została kwestya co do rzekomego nieodpowiedzenia na zawiadomienie Towarzystwa Naukowego Toruńskiego, na co z przyciskiem żalił się prezes takowego na publicznem zebraniu w d. 27 z. m. Następnie odczytaną została rozprawa Dr. Warnki: „Podróże Przewalskiego po Mongolii", której zebrani z wielką uwagą się przysłuchiwali, zawiera bowiem wielce ciekawe i pouczające szczegóły o Chinach i Mongolii.

Gospodarstwo domowe.

— Nad Renem ludność wiejska używa powideł buraczanych, i takowe jako przysmak z chlebem konsumuje. Powidła przyrządza się w sposób następujący: Po dokładnem wymyciu buraków i oskrobaniu brudniejszych korzonków, obcina się nagłówek tak daleko jak tylko kolor zielony sięga, poczem gotuje się je lub piecze w piekarniku. Po wychłodzeniu ugotowanych buraków, trze się takowe na tarkach jak najdrobniej. Masę utartą zaczyna się ostrożnie dodawać, mieszając ciągle, żeby się dobrze gotowała i nie przypaliła. Dopóki masa jest rzadką, przecedza się takową przez drobne sito, a pozostałe grubsze włókno odcedza się. Po odcedzeniu włókna, gotuje się pozostały syrop na nowo, mieszając ciągle, pilnując aby masa się nie przypaliła. Ażeby poprawić smak powideł, dodaje się cokolwiek kwasu winnego (mniej więcej 4 łuty na centnar buraków), odpowiednią ilość gwoździków i cynamonu. Skoro masa gotująca się, cokolwiek zgęsła, rozlewa się ją na misy lub inne naczynia płytkie i stawia w piecu po wyjęciu chleba, tu stężeją do reszty i jako powidła mogą być zachowane. Do fabrykacyi powideł z buraków, biorą się zwykle buraki cukrowe które o wiele więcej mają cukru od zwykłych pastewnych, a najlepsze są buraki ogrodowe ćwikłowemi zwane.

Następstwa wojny.

— Z Odessy piszą do gazety „Birżewyja Wiedomości", że emigranci, którzy w początkach wojny powyjeżdżali do Nikołajewa wracają teraz z powrotem, skutkiem czego ceny na lokale oraz żywność nadzwyczaj szybko spadły. Przerwa komunikacyi między Nikołajewem a Odessą spowodowała zupełny prawie zastój handlowy. Główny przedmiot handlu Nikołajewskiego, ryby, obecnie nie przedstawiają najmniejszej korzyści tak z powodu braku komunikacyi jak niemożności dalszych wycieczek na morze.

Inżynierya polska.

— Z pism warszawskich dowiadujemy się o rodakach naszych w Peruwii, że zajmują tam wybitne stanowiska. P. Malinowski przedewszystkiem, chociaż nie pozostaje w służbie rządowej, niemniej jednak wielkiej używa sławy, żyjąc w przyjacielskich stosunkach z osobami u steru państwa stojącemi. Każdy prawie w Limie zna go i szanuje. Zbudował on kolej z Limy do Oroya (wzniesionej na 12.000 stóp n. p. m.) Kto wie, czy nie jest ona większem dziełem inżynierskiem, aniżeli kolej na Rigi. Dalej p. Folkierski jest dziekanem wydziału przy uniwersytecie San Carlos. Pan Habich pełni urząd dyrektora nowo założonej szkoły inżynierów górniczych. Pp. Wakulski i Unger są profesorami tejże szkoły i zarazem inżynierami rządowymi 2 klasy. P. Orłowski jest głównym inżynierem w kopalniach srebra w Chilete. P. Stryjeński jest architektem rządowym. P. Babiński inżynierem itd. itd. Jako ludzie energiczni, wykształceni, pracowici i skromnie żyjący, mają tam nasi rodacy najlepsze imię.

Stowarzyszenia.

— W Krakowie zawiązało się „Towarzystwo techniczne" i ułożyło statut, który został już zatwierdzony przez władzę. Założycielami są pp.: Walery Kołodziejski, Antoni Łuszczkiewicz, Maciej Moraczewski, Maksymilian Nitsch i Teofil Zahałka. Pierwsze zebranie członków i ukonstytuowanie się Towarzystwa, odbyło się dnia 15 bm.

Statystyka.

— Rocznik sztabu głównego armii niemieckiej, ogłosił statystykę marynarki wojennej Europy. Ogólna liczba okrętów wojennych wynosiła z końcem zeszłego roku 2,089, pomiędzy temi było 209 pancerników. W tym samym czasie na warsztatach stało statków 100. Liczebnie najsilniej stoi Anglia potem idą: Francya, Rosya, Turcya, Austrya, Niemcy, Włochy, Hiszpania, Holandya itd.

ROZMAITOŚCI.

= Stany Zjednoczone — pisze G. Molinari, w Journal des Débats, nie są podobne do innych krajów. Postęp uskutecznia tam ciągle rzeczy najniespodziewańsze. Ażeby posiadanie władzy mogło zmienić miernego polityka w pierwszorzędnego męża stanu, dla Europy wydaje się to nieprawdopodobieństwem, a jednak jeśli mamy wierzyć dziennikowi „Ledger," wychodzącemu w Filadelfii, kwestya ta z niesłychaną łatwością da się rozstrzygnąć w Ameryce, dzięki zdumiewającemu odkryciu jenerała Pleasontona. Trzeba tylko nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych poddać działaniu „promienia błękitnego." Ponieważ szkło błękitne, jak się przekonał nasz wynalazca, ma własność przyspieszania rozwoju roślinności i obudza siły żywotne w zwierzętach, jenerał Pleasonton przeto poświęcił się ścisłym badaniom tego zjawiska i wykonał nad niem długi szereg doświadczeń, które doprowadziły go do rezultatów prawdziwie zdumiewających. „Jenerał — opowiada „Ledger" — zbudował cieplarnię, a raczej rodzaj izby ze szklannem pokryciem. Na ośm szyb białych przypada jedna szyba błękitna. Słońce więc w swoim przebiegu dziennym kolejno rzuca światło błękitne na wszystkie przedmioty znajdujące się pod tem pokryciem. W kwietniu 1861 r. p. Pleasonton wystawił tam jednoroczne latorośle winne, mające grubość cybucha i ścięte przy samej ziemi. Wkrótce potem zaczęły one odżywać, pokazały się pączki, rozwinęły się liście, odrostki zwiększały się stopniowo, tak iż we wrześniu, po upływie pięciu miesięcy, szczepy na jednę stopę od ziemi miały cal średnicy, gałęzie doszły 45 stóp długości a wnętrze izby przeistoczyło się w świetne sklepienie z zielonego wina. W roku następnym roślinność rozwinęła się z podwójną siłą; w jesieni zaś zebrano 1200 funtów wybornych wingron, pod których ciężarem uginały się gałęzie.

„Tak znakomity rezultat — mówi dalej „Ledger", zachęcił jenerała do zrobienia doświadczeń na zwierzętach. Postanowił on urządzić teraz chlew z takiemże szklannem pokryciem. Wielkie powodzenie uwieńczyło znowu próbę. W ciągu kilku miesięcy, prosięta w chlewie p. Pleasontona, rosły szybko i przybrały ogromne rozmiary. Następnie jenerał zrobił doświadczenie z cielęciem, które z początku było tak słabe, że ledwie mogło utrzymać się na nogach. We dwadzieścia cztery godzin, ciele już wstawało, a w cztery miesiące wyrosło na dużego silnego byka. Słowem, wpływ wynalazku okazał się równie skutecznym względem zwierząt, jak i względem roślin; szło już więc tylko o zastosowanie go do człowieka."

„Sprawozdanie, z którego czerpiemy szczegóły, twierdzi dalej w zapale amerykańskiej reklamy „Ledger". co do skutków otrzymanych, nie pozostawia żadnej wątpliwości. Podług słów kommodora Goldsborouga, małe dziecię, które przyszedłszy ledwie żywe na świat miało 3 i pół funta wagi, we cztery miesiące później dzięki działaniu szkła błękitnego ważyło już 24 funty. Żona lekarza w Filadelfii, dra Beckwitha, chora na newralgią i na reumatyzm, pozbawiona snu i apetytu, w stanie zupełnego wyczerpania sił, i chuda, będąc wystawiona na działanie światła błękitnego, uczuła we trzy minuty ulgę a w 10 m. cierpienia ją opuściły zupełnie. Nie dość na tem. Pani Beckwith w chorobie znacznie wyłysiała; pod wpływem zaś szkła błękitnego nietylko że włosy przestały jej wypadać, ale wkrótce bujnie odrosły. Dwaj jeneralowie, towarzysze p. Pleasontona, obarczeni laurami i reumatyzmem, we trzy dni odzyskali dawną rzeźkość i gotowi byli znowu do staczania zwycięzkich bojów. Krótko mówiąc, liczba cudów zwiększa się ciągle, o czem świadczą niewątpliwe dowody. „Błękitny promień" jenerała Pleasontona zapowiada przewrót w nauce życia roślinnego i zwierzęcego, który zwykłym fiołkom może nadać rozmiary boababów, kleszczowi wzrost słonia, słabemu zaś człowiekowi fizyczną dzielność Herkulesa, obok moralnej siły Cezara".

Tak więc, podług „Ledgera", chcąc postawić pana Hayesa na wysokości zadania, wypadałoby zaopatrzyć okna gabinetu prezydenta Stanów Zjednoczonych w szkła błękitne z huty Glassboro (w wybornym gatunku). Sposób bardzo łatwy i niekosztowny. P. Molinari ubolewa ironicznie, że odkrycie jenerała Pleasontona nie było dawniej znane, zarówno w Europie, jak i w Ameryce. Zdaniem jego dopomogłoby to niezmiernie do należytego rozstrzygnięcia zawikłanych spraw politycznych. W każdym razie, ukazanie się „promienia błękitnego" na pochmurnem niebie polityki amerykańskiej, jest oznaką uspokojenia umysłów i dowodzi że poczciwy lud amerykański nie stracił ani właściwego sobie dobrego humoru, ani też swej zdolności do reklamowania rozmaitych dziwów Nowego świata.

= Stronnicy kary śmierci od najdawniejszych czasów żywo zajmują się zbadaniem fizyologii śmierci i starają się wynaleźć jaknajszybszy, a tem samem najlżejszy sposób wyprawiania skazanych na tamten świat. Wśród narodów ucywilizowanych trzy tylko takie sposoby istnieją: rozstrzelanie, gilotynowanie i powieszenie. Natężenie cierpienia oraz czas potrzebny do przejścia z życia do śmierci przy rozstrzelaniu, zależy od mniejszego lub większego porażenia najważniejszych organów życiowych. Jeśli kula uderzy w głowę lub serce, śmierć następuje w jednej chwili, przeciwnie, jeśli skazany został trafiony gdzieindziej, choćby nawet ciało jego było podziurawione jak rzeszoto, to żyje stosunkowo jeszcze dość długo przy zupełnem zachowaniu czucia. Dla tego też we wszystkich prawodawstwach istnieje przepis, ażeby po wystrzałach, dobijano skazanego wystrzałem w serce lub głowę. Co się tyczy gilotyny, to ta odcinając szybko głowę od kadłuba, uważać się może za jeden z najbardziej ludzkich sposób odbierania życia; mimo to jednak szereg bardzo ścisłych obserwacyj nad zgilotynowanymi przekonał, że mózg skazanego już po ścięciu nie przestaje funkcyonować dopóki wszystkie arterye i naczynia krwionośne nie pozbędą się krwi, co zwykle trwa od 4 do 6 minut.

Śmierć Billoira na gilotynie w ostatnich czasach kwestyą cierpień zgilotynowanych na nowo podniosła. Obecni przy tej egzekucyi zauważyli, że po ścięciu Billoira, lewa jego noga przez kilka minut drgała konwulsyjnie. Pokazuje się więc, że i w tułowiu po odjęciu głowy życie nie ustaje natychmiast. Powieszenie znowu należy bezwarunkowo do najbardziej męczeńskich sposobów pozbawiania życia. Mechaniczne ściśnięcie kanałów oddechowych, muszkułów w szyi i naczyń krwionośnych za pośrednictwem sznura, nie przerywa całkowicie możności oddychania i nie powoduje natychmiastowej apopleksyi. Konaniu powieszonego towarzyszy zwykle przez jakiś czas chrapanie; jest to ostatnie usiłowanie skazanego wprowadzenia do płuc powietrza, które kończy się dopiero wówczas, skoro muszkuły wyprężą się zupełnie.

Amerykańskie gazety z ostatnich dni przytaczają niezmiernie ciekawe obserwacye, dokonane nad trzema powieszonymi przestępcami. W Karolinie Zachodniej, w dniu 8 czerwca został powieszony niejaki Samuel Orr, za zabójstwo prezydenta stanu Missuri, pana Dowi. Serce skazanego przestało bić dopiero po upływie 20 minut od chwili powieszenia. Drugi skazany nazywał się Karol Furmsi, za morderstwo pani Kuranwaj, której trupa sprzedał lekarzowi za trzy dolary. Zbrodniarz ten szedł na śmierć ze spokojem i najzimniejszą krwią. Wstąpiwszy na szafot żuł tytoń i skoro szeryf zapytał się go, czy nie ma co do powiedzenia, odrzekł że nic i że gotów jest na śmierć. Oprawcy związali mu ręce i nogi, włożyli na głowę czarny kaptur i wówczas dopiero Furmsi wyrzucił tytoń z ust, kiedy mu już pętlę nałożono na szyję. Nieszczęśliwy męczył się 17 minut, nim wyzionął ducha. Trzecim powieszonym był Jakób Burhuan, skazany na śmierć za zabójstwo obywatela Aleksandra Hregge. Ten żył po powieszeniu całe 20 minut. Fakta te dowodzą jak najoczywiściej, że wszystkie dotąd używane sposoby pozbawiania życia są złe pod względem fizyologicznym i występne pod względem humanitarnym.

= Wydana niedawno angielska księga błękitna, zawiera także korespondencyą dyplomatyczną, odnoszącą się do byłej rzeczypospolitej Transwaalijskiej, a pomiędzy ostatniemi aktami znajdują się nader ciekawe i charakterystyczne szczegóły o plemieniu Kafrów Zulu i o królu tego plemienia. Czarny ten mocarz w roku zeszłym kazał był stracić znaczną liczbę dziewcząt za to, że nie chciały się poddać przymusowym małżeństwom z wojownikami królewskimi, ale samowolnie rozporządzić pragnęły swemi sercami. Gubernator sąsiedniego Natalu, sir Henry Bulwer, wskutek tego przypomniał okrutnemu królowi Zululan jego zobowiązania złożone przy wstępowaniu na tron reprezentantowi Anglii, sir Teofilowi Shepstone i wyraził przekonanie, że zapewne rozsrzerzane o jego okrucieństwach wieści są zmyślone lub przesadzone. Na to „straszny Kafr z najzimniejszą krwią dał posłowi taką odpowiedź: „Czyż ja kiedy powiedziałem panu Shepstonowi, że nie będę zabijał? Co? — on białemu ludowi mówił, że się ze mną tak ułożył? Jeżeli tak mówił, to oszukiwał białych ludzi O tak, ja zabijam. Ale nie sądźcie, żem daleko już zaszedł w tym kierunku. Dla czegoż to biali ludzie za byle co się oburzają i skaczą? Ja nawet jeszcze nie zacząłem; dużo jeszcze mam do zabijania. Jest to obyczaj naszego ludu, a ja nie chcę odstąpić od obyczaju. Cóż to rządca Natalu odzywa się do mnie o moich prawach? Czy ja kiedy przychodzę do Natalu, ażeby się wtrącać do jego przepisów? Nie dopuszczę tu nigdy praw ani reguł natalskich, ażeby może do wody wrzucić wielki Kraal, którym rządzę? Mój lud nie będzie słuchał, jeśli nie będzie zabijany, a jakkolwiek pragnę zawsze mieć w Anglikach przyjaciół, to przecież nie mogę na to przystać, ażeby lud mój rządzony był nasyłanemi przez nich ustawami. Czyliż nie prosiłem Anglików od czasu śmierci mego ojca Umpandi, ażeby mi pozwolili umyć (zapewne we krwi?) ostrza dzid moich, a oni przez cały czas bawili się ze mną i traktowali mnie jak dziecko? Idź z powrotem do Natalu i powiedz Anglikom, że będę postępował jedynie według własnego widzimisię. A jeżeli chcą, ażebym koniecznie przyjął ich prawa, to pójdę w świat za oczy i zostanę wędrowcem, ale nim pójdę, będą mogli zobaczyć, że nie odszedłem bez poprzedniego działania królewskiego. Idźże, idź do Natalu, powiedz to białym ludziom, i tak powiedz, żeby dobrze zrozumieli. Rządca Natalu i ja jesteśmy równymi sobie; on włada w Natalu, a ja tutaj."

= W Petersburgu, w zoologicznym ogrodzie wydarzył się kilka dni temu szczególny wypadek. Jeden z dozorców, wszedłszy do zagrody niedźwiedzi, ku wielkiemu zadowoleniu publiczności, zmuszał kosmatych wychowanków swych do popisywania się z przeróżnemi sztukami. Przedstawienie zrazu szło arcy pomyślnie w końcu jednakże jeden z aktorów, w chwili gdy dozorca na grzbiet jego siadał, poczęstował jeźdzca swego łapą, zranił, powalił na ziemię i przydusił olbrzymim swoim tułowiem. Z piersi widzów wyrwał się krzyk przerażenia. W tem zwierz drugi, widząc krytyczne położenie karmiciela swego rzuca się na towarzysza, chwyta go zębami za kark i ściąga z biednego dozorcy, którego wydostano z klatki na pół żywego ze strachu. Jest to pierwszy fakt tego rodzaju w którym zwierzę nietylko okazało swe przywiązanie do człowieka, ale posunęło to uczucie aż do spełnienia szlachetnego czynu ze świadomością celu. Widocznie więc czyny moralne nie są wyłącznym przywilejem ludzkości.

Od Redakcyi.

Z tym numerem kończymy kwartał drugi, upraszamy przeto szanownych prenumeratorów o wczesne odnowienie przedpłaty w celu uregulowania nakładu.

Treść Nr. 42.

	str.
Czytelnie ludowe	657
Szklanny człowiek nowella J. Lama i Wł. Zagórskiego. (c. d.)	658
O architekturze odczyt prof. J. Zachariewicza (c. d.)	659
Powstanie nad Bajkałem. Z pamiętników naocznego świadka Z. O. (dok.)	660
Gabryel Conroy romans Bret-Harta (dok.) .	662
Z nieznanych poezyj Juliusza Słowackiego i Mieczysława Romanowskiego.	664
Czarne Indye przez Juliusza Verne (c. d.) .	665
Wartość drzewa przez B. P. Chotomskiego .	667
O twórczości poetyckiej przez Juliana Ochorowicza (c. d.)	667
Listy z Anglii Sygurda Wiśniowskiego .	668
Piśmiennictwo polskie	669
Tydzień lwowski XXI	669
Wojna na morzu przez B. Abakanowicza (c. d.)	670
Tydzień warszawski XII	670
Wiadomości ze świata	671
Rozmaitości. — *Od Redakcyi*	656

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.